Dziś w numerze: F. BĄBOL **Gniewni z browaru** ● R. BINKOWSKI **Wielka ropa nad Wisłoką** ● Z. CHOJNACKI **Gdy Luftwaffe atakowała Polskę** ● J. WILMAŃSKI **„Wszystko gra, panie dzielnicowy..."** ● **Jedziemy autostopem** ● **Kulisy programu**

odgłosu

Wojewódzka Odznaka Turystyki i Krajoznawstwa Młodzieży

36 (529)
7. IX. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

Fot. Piotr Jaston

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Porównania

Człowiek lubi porównywać. Daje mu to poczucie ważności, jeśli porównanie wypada na jego korzyść. Daje mu to świadomość miejsca, jakie zajmuje w otaczającym go świecie. Porównania mogą być różne. Mogą przynosić pożytek i dawać tylko bezpożyteczne zadowolenie. W dobie podróży kosmicznych lubimy zastanawiać się nad szybkością pokonywania ziemskich przestrzeni. Możemy np. martwić się, że czas potrzebny na pokonanie niewielkich odległości dzielących Łódź od Lutomierska, Tuszyna czy Ozorkowa nie wiele różni się od czasu potrzebnego na jazdę pociągiem do Warszawy. Ba, ludzie biegli w sprawach komunikacji obliczyli nawet, że dziś do Londynu podróżuje się o 12 godzin dłużej niż przed 73 laty. Tylko, że świadomość tych faktów niewiele nam pomoże, ani też zaszkodzi.

Znamy inne wyniki porównań. Statystycy obliczyli, że Polska pod względem udziału w światowej produkcji zajmuje 11 miejsce, że jesteśmy na 9 miejscu wśród producentów stali, na 13 — wśród producentów energii elektrycznej, 11 — paliw, 12 — kwasu siarkowego, 11 — cementu, 10 — obrabiarek do metali, turbin parowych — statków pełnomorskich i cukru, na 9 — wśród producentów traktorów. Te porównania dają nam pojęcie skoku, jaki dokonaliśmy w ciągu minionych 25 lat, ale jeszcze nie orientują, czy produkowane maszyny, urządzenia i towary odpowiadają światowemu poziomowi. To porównanie ma już inny sens i cel.

1.

Uchwała II Plenum KC PZPR stwierdza:

„Zakładowe plany wykorzystania rezerw powinny być opracowane w czasie tworzenia 5-letniego planu gospodarczego zakładu i stanowić jego część składową".

Właśnie jest czas tworzenia zakładowych planów 5-letnich. W fabrykach całego kraju powstają plany wykorzystania istniejących rezerw. Rezerwa znaczy zapas. Jest to zapas zdolności produkcyjnych, jakimi dysponuje jeszcze przedsiębiorstwo, a jakie powinny być wykorzystane. Czasem dla ich wykorzystania potrzeba przeprowadzenia odpowiednich zmian organizacyjnych lub niewielkich zgoła inwestycji.

Dla skierniewickiej **„Zatry"** potrzeba takich właśnie inwestycji, co w rezultacie powinno dać pogłębienie specjalizacji. W **ZPO „Pilica"** w Tomaszowie Mazowieckim wystarczy podnieść kwalifikacje załogi i dzięki temu będzie można wykorzystać 100 bezczynnych na razie maszyn, a produkcja wzrośnie o 100 proc. W **ZPB im. St. Kunickiego — „Maltex"** w Łodzi można przy niewielkich zmianach i systematycznych dostawach przędzy zwiększyć roczną produkcję o 85 tys. metrów przędzin. Również **Południowo-Łódzkie Zakłady Przemysłu Jedwabniczego** i **Zjednoczenie ZPO „Wólczanka"** wykazały możliwości zwiększenia produkcji dzięki ujawnieniu rezerw mocy produkcyjnych.

2.

W fabrykach działają zespoły specjalistów, odbywają się zebrania organizacji partyjnych, czy stowarzyszeń specjalistycznych, na których omawia się możliwości zwiększenia produkcji, pełniejszego wykorzystania parku maszynowego, czasu pracy i surowców. Wśród ludzi pracujących w fabrykach są tacy, którzy dysponują dużym doświadczeniem w wyszukiwaniu rezerw, w pokazywaniu możliwości produkcyjnych przedsiębiorstw.

Dalszy ciąg na str. 2

ANDRZEJ MAKOWIECKI

SOPOT 69

BERŁO DLA DEBICHA

Najpierw były długie, męczące próby, na których najlepiej sprawowała się orkiestra i jej znakomity dyrygent HENRYK DEBICH, a później, w czwartek dwudziestego pierwszego, wstępny koncert „Piosenka nie zna granic" zweryfikował skutecznie mity krążące o niektórych piosenkarzach, i popłynęła szerokim łożyskiem nieprzebrana rzeka nudy.

1.

Debich i jego orkiestra mieli w przygotowaniu tej imprezy wkład zasadniczy. Zaimponowali nie tylko wysokimi kwalifikacjami muzycznymi, ale i żelazną kondycją. Ich zajęcia rozpoczynały się o dziesiątej przed południem a kończyły o dwunastej w nocy. Trwało to przez cały tydzień, aż do ostatniego koncertu. Nagrywanie festiwalowej płyty, które zaczęło się któregoś pięknego popołudnia, zakończyło się o szóstej nad ranem dnia następnego, doprowadzając wielu muzyków do stanu krańcowego wyczerpania. A przecież żarówno płyta jak i wszystkie cztery koncerty sopockiego maratonu, na który złożyło się dwieście bez mała trudnych, nadesłanych nieraz w ostatniej chwili partytur — brzmiały pod względem muzycznym bez zarzutu. Sypali się konferansjerzy, potykali piosenkarze, tracili głowę macherzy od nagłośnienia, przez co wynikła ta nieprzyjemna chryja ze Skaldami — a orkiestra grała od początku do końca bez najmniejszych uchybień.

Toteż Debich zbierał ze wszystkich stron zasłużone gratulacje. Chwaliła go prasa. Chwalili organizatorzy i piosenkarze —

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

Przed 30 laty na ziemiach polskich rozegrał się pierwszy etap II wojny światowej, która pochłonęła ok. 55 mln ludzi. Zasięg i znaczenie obronnej wojny Polski w 1939 r., a także jej tło i geneza odnowione zostały w naszej pamięci w czasie obchodów tej tragicznej rocznicy. Tym, którzy pomniejszają jej znaczenie, nazywając ją „manewrami z użyciem ostrej amunicji", przypomnijmy tylko niektóre liczby. W walkach wrześniowych po obu stronach wzięło udział ponad 2,8 mln żołnierzy, 15 tys. dział, ok. 3 tys. czołgów, ponad 2 tys. samolotów. Na polach wrześniowych zabito lub raniono ok. 250 tys. ludzi. Armia hitlerowska straciła 1 tys. samochodów pancernych i czołgów, prawie 12 tys. samochodów i motocykli, 400 dział i moździerzy, 590 samolotów. Opór polskich sił zbrojnych trwał 35 dni, chociaż przewaga Niemiec hitlerowskich była ogromna. Wehrmacht dysponował niemal dwukrotnie liczebniejszą piechotą, trzykrotnie większą siłą ogniową artylerii, zaangażował do walki ponad czterokrotnie więcej czołgów niż dysponowała Polska i pięciokrotnie więcej samolotów.

W kampanii wrześniowej zasoby wojenne Niemiec poważnie zostały uszczuplone i wymagały stosunkowo długiego okresu odbudowy przed atakiem na Francję.

Obchody 30 rocznicy września 1939 roku służą jednak w Polsce nie tylko przypomnieniu wysiłku zbrojnego naszego narodu, jego zorganizowanego oporu w latach okupacji i udziału w zwycięstwie państw wielkiej koalicji. Mają one na celu przede wszystkim podkreślenie, że powszechnym nakazem jest walka przeciwko siłom wojny i agresji, które w Europie znalazły swoje siedlisko w Niemczech Zachodnich. Te elementy wrześniowych nauk miały odbicie w rocznicowych przemówieniach w Warszawie, Gdańsku, Oświęcimiu, Katowicach i Łodzi — wszędzie, gdzie odbywały się antywojenne manifestacje.

Po tym wrześniowym przypomnieniu przejdźmy do niektórych bieżących wydarzeń w świecie.

Największy stan napięcia utrzymuje się obecnie na BLISKIM WSCHODZIE. Pożar meczetu Al Aksa stał się powodem ostrego wzrostu nastrojów antyizraelskich. Podejrzewając, że został on celowo wywołany przez Izrael — przedstawiciele 29 krajów muzułmańskich wystąpili do sekretarza NZ — U Thanta z wnioskiem o przeprowadzenie bezstronnego śledztwa. W kilka dni później 24 maja zażądały zwołania Rady Bezpieczeństwa. Pośpiesznie też na 2-dniowe obrady zebrała się sesja ministerialna Ligi Arabskiej. Powszechnie uważano, że jedną z jej decyzji będzie zwołanie szczytu krajów arabskich. Nie wykluczając takiej możliwości (ale dopiero po przestudiowaniu propozycji przez radę Ligi Arabskiej) zdecydowano już, aby zwołać posiedzenie Rady Obrony z zadaniem zmobilizowania wszystkich zasobów arabskich przeciwko agresji izraelskiej. Uznano także za celowe zebranie się muzułmańskiej konferencji na szczycie. Konferencja ta zgromadzi poza szefami państw arabskich — również przywódców państw muzułmańskich z Afryki i Azji. Będzie więc ona liczniejsza, ale możliwości, podjęcia aktywnych kroków — bardziej ograniczone.

Oceniając to postanowienie komentatorzy podkreślają, że mimo ogromnego wzburzenia świata arabskiego z powodu — jak czytamy w komunikacie kairskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych — „podjętych przez Izrael z premedytacją aktów przeciwko miejscom świętym islamu i chrześcijaństwa", zwyciężyło umiarkowanie. Jednak następstwa pożaru meczetu będą z pewnością bardzo poważne.

Równie poważne mogą być następstwa decyzji prez. Nixona odroczenia dalszej redukcji wojsk amerykańskich w WIETNAMIE. Krok ten zbiegł się w czasie ze zmianami rządowymi w Sajgonie, których charakter najlepiej ilustruje fakt, że premiera-cywila zastąpił w reżimowym gabinecie premier — generał. A więc usztywnienie na całej linii.

W często powtarzanej argumentacji amerykańskich źródeł odroczenie redukcji sił wojskowych USA w Wietnamie ma być formą presji na rokowania paryskie. Bezsensowność takiej argumentacji jest oczywista. Rokowania rzeczywiście znajdują się w impasie, ale to dlatego, że Waszyngton aktywnie wspiera w tych rozmowach stanowisko reżimu sajgońskiego, blokującego jakikolwiek postęp.

Wstrzymanie redukcji wojsk utrudnia jeszcze bardziej rokowania, gdyż umacnia sprzeciw Sajgonu. Zauważa to nawet prasa amerykańska. „New York Times" pisze na przykład wprost: „Nixon sprawia wrażenie, że stał się narzędziem w rękach reżimu sajgońskiego..."

A co oznacza wyznaczenie gen. Kiema na szefa marionetkowego rządu.

Dążenie za wszelką cenę do skonsolidowania junty wojskowej w Sajgonie. Potwierdza to, iż reżim ten zamierza kontynuować wojnę i nie poszukuje możliwości pokojowych rozwiązań.

Czy dziwić się zatem, że kolejne, 32 już posiedzenie konferencji paryskiej znów nie przyniosło żadnego rezultatu?

W. SŁAWSKI

POROWNANIA

Dalszy ciąg ze str. 1

Pracowali nad planami alternatywnymi, przy realizacji uchwały VII Plenum KC PZPR i przy innych okazjach. Dziś spożytkowują na byte doświadczenia przy sporządzaniu bilansu rezerw produkcyjnych. Zadają oni sobie często pytanie, czy problem sprowadza się tylko do mechanicznego zwiększenia produkcji? Czy chodzi tylko o ilość, a co z jakością, co ze standardem?

Jest jeszcze i druga strona procesu ujawniania i wykorzystywania rezerw. Bardzo często w fabrykach ukrywa się spore możliwości produkcyjne, aby tym łatwiej i bez kłopotów móc realizować zobowiązania produkcyjne dla uczczenia świąt i innych okazji. Tego typu „chomikowanie" nie ma nic wspólnego z socjalistyczną gospodarką i całkowicie wypacza idee robotniczych, produkcyjnych zobowiązań.

Proces narastania zdolności produkcyjnych w przedsiębiorstwie powinien zachodzić naturalnie, w wyniku postępu technicznego, ekonomicznego, organizacyjnego, stałego wzrostu kwalifikacji i kultury pracy. W mającym powstać programie wykorzystania rezerw produkcyjnych chodzi zatem o ujawnienie „zaskórniaków", jak i o ujawnienie tego, co narosło w sposób naturalny. Tylko, że wykazanie, że fabryka może produkować więcej, to dopiero połowa pracy. Więcej, ale czego, jakiej klasy wyrobów?

3.

W czasie niedawnych obrad Komitetu Łódzkiego PZPR powiedziano m. in.:

— Aby dyskutować nad planem, załogi muszą przede wszystkim wiedzieć, czy ich zakład i jego wyroby znajdują się na szarym końcu, czy w czołówce postępu technicznego, nawet wówczas, jeśli będzie to świadomość nieprzyjemna. Jest to bowiem pierwszy krok do następnego pytania — dlaczego?

Rzeczywiście może to być świadomość nieprzyjemna. Pokazuje to porównanie polskiej przewijarki z przewijarkami zagranicznymi. Przewijarka polska ma rzeczywistą szybkość przewijania wynoszącą 440 m na min., produkcji CSRS — 1080, NRF — 1010, włoska — 1360 m. Dla polskiej — ilość punktów przewijania przypadająca na jedną przewijaczkę wynosi 18, dla NRF — 100, a dla włoskiej — 48. Ciekawe jest też zestawienie kosztów przetworzenia 1 kg produktu, przy założeniu, że 1 dolar równa się 60 zł. Tak więc koszt przewijania na polskiej maszynie wyniesie 2,73 zł, na czeskiej — 2,36 zł, na niemieckiej (NRF) — 2,02 zł, a na włoskiej — 2,45 złotych.

Dokonano porównania 4 typów krosien czółenkowych automatycznych. Wybrano saurera produkowanego przez **„Wifamę"**, szybkobieżnego saurera produkowanego przez Szwajcarię, krosna z ZSRR i Belgii. Szybkość robocza właściwie się zbytnio nie różni. Radzieckie krosno ma szybkość mniejszą o 10 cm, a belgijskie większą o 2 cm. Pierwsze różnice występują już w szybkości obrotów maszyny. Polskie krosno ma 206 obrotów na minutę, szwajcarskie — 250, radzieckie — 220, a belgijskie — 230 obrotów. Polskie jest poza tym największe i najcięższe. Ma też najniższą wydajność. Jeden tkacz w ciągu godziny daje na „polskim saurerze" 287 tys. m wątku, na oryginalnym, najnowszym wydaniu saurera — 594 tys. m wątków, na radzieckim osiąga 380 tys. m wątków i na belgijskim — 556 tys. m wątku.

Zastanawiający jest fakt, że porównanie klejarki produkowanej przez **„Fakrobę"** w Zduńskiej Woli na licencji angielskiej firmy „Hibbert" z oryginalną maszyną tej firmy wypada niekorzystnie dla naszych producentów. Przy zachowaniu identyczności wszystkich wskaźników różnica występuje w dwu przypadkach. Na maszynie polskiej można kleić osnowy o szerokości wynoszącej 2 tys. mm, a na angielskiej — 2 200 mm. Istotniejsza jest różnica szybkości klejenia. Na polskiej wynosi ona 110 m na minutę, a na angielskiej — 1 200 m na minutę.

Nie jest to zatem świadomość przyjemna, ale jest ona najważniejsza w pracy nad gromadzeniem i ujawnianiem rezerw produkcyjnych. Proces ich wykorzystania trzeba rozumieć nie tylko jako drogę zwiększenia ilości produkowanych maszyn, urządzeń, tkanin czy innych wyrobów, ale przede wszystkim jako **ujawnienie sposobów podniesienia ich jakości, zrównania z najlepszymi wyrobami znanych światowych firm. Dogonienie najlepszych.**

Powiedzieć — mało. Kto przekona, że ta prawda jest pożyteczna i potrzebna? Kto?

W Instytucie Włókiennictwa i Centralnym Laboratorium Przemysłu Bawełnianego prowadzi się prace nad zastosowaniem suchego klejenia osnów. Dla sprawnego działania maszyny potrzeba niezwykle dokładnego przyrządu służącego do mierzenia grubości kleju nakładanego na osnowę. Musi on być kładziony bardzo równo. Aparat kontrolny musi sygnalizować wszystkie niedokładności. Nie bardzo wiedziano, kto mógłby taki aparat kontrolny wykonać. Przypadek zetknął z pracownikami Łódzkiego Oddziału **Instytutu Badań Jądrowych.** Aparat powstał i jest nadzieja, że sprawdzi się też w warunkach produkcji przemysłowej.

ZA TYDZIEŃ W „ODGŁOSACH"

- **ROMAN ŁOBODA — „Co nas czeka?"**
- **JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI — „Na tropie zbrodniarzy"**
- **MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI — „Ze wspomnień"**

oraz

- **Walewickie anglo-araby,**
- **Nowela kryminalna**

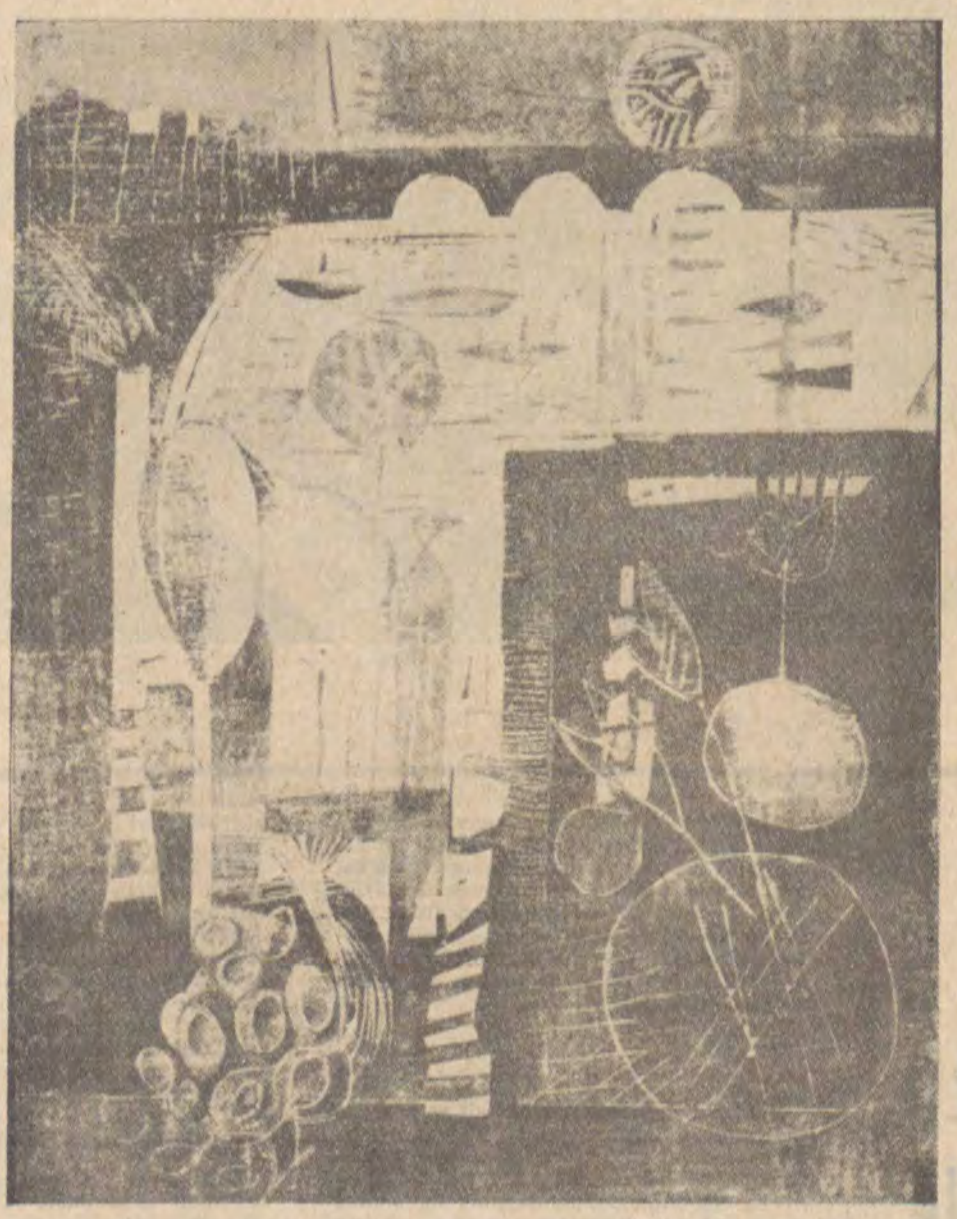

4.

Nie zawsze fabryka jest w stanie sama określić swoje miejsce i położenie na produkcyjnej mapie Europy czy świata. Czasem brakuje możliwości, czasem czasu, a czasem po prostu nieświadomość jest wygodna. Kto zatem podejmie się roli — niewdzięcznej dodajmy — sprawiedliwego? Kto powie prawdę?

Ten przykład — a jest ich znacznie więcej — pokazuje, gdzie szukać sprawiedliwych. Chodzi tu nie tylko o możliwość przeprowadzenia dokładnych i wnikliwych analiz przy pomocy aparatury, jaką dysponują placówki naukowe, chodzi też o autorytet. Przemysłowi z pomocą powinna przyjść nauka. Przemysł powinien uzyskać odpowiedź na pytanie, jaki jest poziom produkowanych przez niego wyrobów, jak daleko ma do poziomu przodujących wytwórni? Powinien on obok tych odpowiedzi otrzymać też wskazówki — co robić, aby ten stan rzeczy zmienić? Nie wystarczy już dziś znaleźć odpowiedź na pytanie — **dlaczego?** Trzeba też odpowiedzieć sobie na pytanie — JAK? Porównanie prowadzi do następnego etapu — do **wyboru. Wyboru najlepszej drogi, najlepszej metody działania. I takie porównania są nadzwyczaj pożyteczne.**

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

SZANOWNY
PANIE REDAKTORZE

Prosze uprzejmie o sprostowanie pomyłki zniekształcającej zupełnie sens zdania w tekście mojej recenzji pt. „Niełatwy temat – prowincja" (nr 35 z dnia 31 sierpnia br). Powinno ono brzmieć: „Trochę pewnie z powodu uniku zastosowanego wobec tajemniczej sprawy brygadzisty Dudy, która zapowiada się jako swego rodzaju zaweźlenie watków..." (zamiast niefortunnego „zaweżenia", które nie ma sensu w kontekście całego akapitu).

Z wyrazami szacunku
Jerzy Kwieciński

GNIEWNI Z BROWARU

FELIKS BĄBOL

...Gdy nie chodziłam na świetlicę, przebywałam całe wieczory na ulicy. Na świetlicy spędzamy mile czas szczególnie gdy nasz zespół ma próbę. Przydałby się nam adapter i kilkanaście płyt, bo trudno stale oglądać się na zespół, oni też chcą się pobawić. Opiekunów mamy dobrych (Janek G., 17 lat, nie pracuje).

...W świetlicy zaczęłam śpiewać w zespole. Ale chciałabym bardzo, aby zmienił się stosunek chłopców do dziewcząt i uważam, że mogłyby pomóc wykłady o kulturze dnia codziennego. Widziałabym jeszcze kąciki zainteresowań, obóz letni w Bieszczadach, gdzie poprzez zbieranie produktów leśnych moglibyśmy sobie zarobić pieniędzy na wycieczkę za granicę (Iwonka K. 16 lat, nie pracuje, nie uczy się).

...Na portierni powinni być dyżurni ponieważ wchodzą osoby nie należące na świetlicę i zaczyna się wtedy rozróbka po terenie browaru. Wtedy dopiero się człowiek w głowę bije kiedy musi iść do dyrekcji browaru i się tłumaczyć na jakąś wyrządzoną szkodę. Niech samorząd nie śpi tylko niech się weźmie za przestrzeganie regulaminu (Tadek U., 18 lat, nie pracuje, nie uczy się).

...Niektórzy chłopcy przychodzą w stanie nietrzeźwym, wymawiają wulgarne słowa, demoralizują (Zosia D., 17 lat, nie pracująca).

...Gdy otworzono świetlicę sprawiło mi to wielką radość ponieważ dała mi schronienie przed pałkami milicyjnymi, przed zakładami poprawczymi. Początki świetlicy były nudne, ponieważ nie było rozrywek. Teraz nasz zespół muzyczny przy pomocy kierownika wybił się na całą Łódź (Leszek P., 19 lat, nie pracujący).

...Porą zimową zacząłem przebywać na poczekalni przy ulicy Północnej. Na tej poczekalni znajdowała się młodzież z różnych środowisk. Nie mieliśmy tam innego zainteresowania jak awantury i różne wybryki chuligańskie. Z tych awantur bardzo dużo młodzieży zostało zamknięte w zakładach karnych jak i w więzieniach. Poczekalnią zajęły się czynniki społeczne i stworzyły nam świetlicę, która nas uchroniła od dalszych więzień (Zenek S., 18 lat, nie uczy się, nie pracuje).

...Chłopcy żeby nie grali przy nas tylko w karty, odzywając się przy tym niegrzecznie. By przychodząc nie używali alkoholu, lecz byli grzeczni i towarzyscy (Krysia B., 15 lat, nie uczy się).

...Gdy nie było świetlicy chodziłam do koleżanek z którymi spacerowałam po ulicach bez żadnego sęsu. Kiedy została otwarta świetlica zaczęłam z niej korzystać i od tąt czas spędzam przyjemnie (Jadzia K., 17 lat, nie uczy się, nie pracuje).

...Przed tem przebywałem z kolegami na poczekalni. Były takie zdarzenia, że koledzy doprowadzali mnie do wybryków chuligańskich, które kończyły się dla mnie klęską (Jurek S., 18 lat, nie pracujący).

...Chcę wstąpić do świetlicy dlatego żeby wolny czas spędzać przyjemnie i nie być szarpanym przez organy MO jak to mi się dość często zdarzało. Pragnąłbym uczęszczać na świetlicę, gdyż mam wyrok w zawieszeniu i kuratora (Bronek T., 17 lat, nie uczy się, nie pracuje).

***

Ze wszystkich wypowiedzi bije rozpacz: co zrobić z nadmiarem czasu? Jeden z chłopców pisze, żeby kontrolować tych, którzy wchodzą przez portiernię do świetlicy. To chyba nie samolubna chęć zachowania tylko dla siebie, dla swego środowiska tego dobra, jakie stanowiła świetlica. To chyba lęk przed dalszym skomplikowaniem i tak już mocno skomplikowanego środowiska. Lęk instynktowny.

Niektórzy uczestnicy po wyrokach, prawie wszyscy sklecili sobie jak umieli na własny użytek oryginalną filozofię życia, z dala od reguł obowiązujących naokoło, choćby we własnym domu rodzinnym. Większość jest wrogo nastawiona do pracy, obowiązku, wysiłku. Świetlica to dobra rzecz, bo jest gdzie się podziać w słotny wieczór, czy w zadymkę hulającą pod wiatami przystanków tramwajowych i po bramach. Jest gdzie posiedzieć z dziewczynami. Tylko dlaczego tak mało big-beatu?

Ten głos rozsądku, który mówił, żeby nie wpuszczać obcych do świetlicy, utonął w morzu obojętności. Nie było silnych wobec bambrychów, którzy uparli się, że wejdą. Że dyrekcja browaru traciła resztę świętej cierpliwości wobec gniewnych sub lokatorów — no to co?

Ta najmłodsza informatorka z ankiety, ta 15-letnia, która prosi, aby chłopcy odzywali się grzecznie, dopiero po miesiącach przekona się, że w świetlicy w browarze wcale nie chodzi o piękno języka i demokratyczny savoir-vivre, że w browarze toczy się właściwie bitwa o rzeczy ważniejsze. Wyraźnie czuło się od pewnego czasu, że przyszłość najbliższa musi wreszcie przynieść odpowiedź na pytanie: kto — kogo? A przecież nie mogło być tak, żeby ferajna i dzikość opanowały sytuację, nadawały ton wychowawczy w stosunku do tej nielicznej grupy, która chciała kącików zainteresowań, wycieczek w Bieszczady po leśne runo i szacunku dla języka ojców.

***

Część tej praktycznie myślącej młodzieży znalazła w świetlicy jakieś bodźce skłaniające do myślenia o swej przyszłości. Może by kurs radiowo-telewizyjny, może samochodowy? Dziwna rzecz — te kierunki działają najsilniej na wyobraźnię. Ale życie uczyło. Przyjdzie taki facet z torbą, pokręci coś w telewizorze i dwie setki lecą. A kierowca? Jeździ sobie po całej Polsce, zarabia i jeszcze dziewczyny może sobie zabierać na autostop. Życie uśmiechało się do przyszłych mechaników radiowo-telewizyjnych i do przyszłych szoferów.

A dom? Dlaczego stamtąd nie przyjdzie bodziec? Przecież trudno sobie wyobrazić, żeby w każdym domu namawiano do wstąpienia na kursy telewizyjne i samochodowe. Co dom, to inny obyczaj, inne tradycje zawodowe, inny świat. Nie zapominajmy jednak, że w browarze po zachowaniu się tej młodzieży nie było widać śladu domu, wszyscy oni na ogół zerwali już więzy ze swymi rodzinami. Jednostki tylko utrzymywały jakiś kontakt z matką, ojcem czy rodzeństwem. Większość poczuła się przedwcześnie dojrzała, a przedwczesna dojrzałość zadowala się najczęściej własnym stylem życia i własną moralnością. W browarze ta moralność się sprawdzała.

***

...Świetlica uprzyjemnia mi czas, który dotychczas spędzałem pod bramami i na rogach (Edek Z., 17 lat, nie uczy się, nie pracuje)...

Tak, to była świetlica młodzieży trudnej. Najpierw nazwał ktoś tych nastolatków dziećmi ulicy, ale szybko wycofano się z tego określenia, sięgając po bardziej parlamentarne. W określeniu „młodzież trudna" nie ma bowiem faktu zrzucenia przez dorosłych odpowiedzialności za sytuację chłopców i dziewcząt, którzy najlepiej czują się na ulicy. „Młodzież trudna" sugeruje z miejsca problem, którym ktoś powinien się zająć. „Dzieci ulicy" można było pozamykać po ochronkach i świetlicach, karmić, ubierać, wychowywać — nie patrząc na wyniki wychowania. „Młodzieży trudnej" nie wolno zamykać, musi korzystać z pełni wolności i swobody, gdyż jej sytuacja to problem niełatwy do rozwiązania przez społeczeństwo. A poza tym umówiliśmy się, że to my, starsze społeczeństwo jesteśmy wszystkiemu winni. Odnosi się takie wrażenie, że jesteśmy odpowiedzialni za zło, jakie ta młodzież wyrządza i w jakim tkwi. Wielu z nas jest tego pewnych, niejasna jest jedynie granica od powiedzialności.

W ankiecie zaskakuje czasem bezczelność: „nie pracuję, nie chodzę do szkoły, chciałbym aby w świetlicy było więcej wieczorków tanecznych i wycieczek"...

Czy dziesięć milionów Polaków pracuje w fabrykach, kopalniach, na roli, po to tylko, aby — zgodnie z filozofią życia reprezentowaną przez młodzież trudną — tym kilkunastu tysiącom gardzącym nauką i celowym wysiłkiem częściej przygrywały big-beaty?...

***

Mówił działacz społeczny z dzielnicy:

— Świetlicę w browarze trzeba było zamknąć. Powstał tam nawet jakiś samorząd, ale wie pan, jaki? Taki co to niczego nie pragnął tej młodzieży pokazać. Naginał się do żądań i nie było żadnej odpowiedzialności za to, co się dzieje w świetlicy. Nawet regulaminu stworzonego przez samorząd nie szanowano. Regulamin apelował do jakiejś minimalnej choćby dyscypliny społecznej, do norm współżycia, torował drogę wyjścia ze ślepych uliczek — nic z tego nie zrobiono. Po staremu wóda była, a k...a mać ciągle w ustach. Kupili instrumenty na raty, przyklasnęliśmy tej idei, ludzie-społecznicy z Filharmonii chcieli ich uczyć muzyki, to wie pan, jeszcze tych społeczników obszczekali.

— A praca? Terapia pracą...

— Robiliśmy wszystko w tej sprawie. Wyszukaliśmy miejsca dla wszystkich chętnych. Wielu zgłosiło się nawet, ale wytrwało w pracy tylko dwóch, reszta pojechała w Polskę, autostopem.

— To znaczy, że zabrakło im tam jakiegoś autorytetu...

— Szukaliśmy takiego autorytetu, stworzyliśmy mu warunki pracy, kupiliśmy urządzenia świetlicowe, meble itp., ale i to nie pomogło, świetlica nie wytrzymała próby życia. Kierownicy tej zbiorowości nie potrafili się rządzić, jedna z grup kilkakrotnie pobiła portiera browaru, na którego terenie zorganizowano placówkę. Myślę, że wzięliśmy na swe barki zbyt duży ciężar. Przecież połowa uczestników świetlicy to byli ludzie z wyrokami. Bardzo młodzi, ale już z wyrokami. Tylko nieliczni z uczestników pracowali, reszta wyraźnie gardziła pracą.

— Wychowanie przez muzykę, sztukę?

— Mieli muzykę, zespół muzyczny powstał najszybciej, ale wkrótce zażądał pozwolenia na wyjazdy na wesela i chrzciny. Nie mogliśmy się na to zgodzić, bo i bez tych wesel i chrzcin dużo wódki się tam piło.

— A jak doszło do likwidacji?

— Aktyw terenowy interweniował, udowadniając, że cały ten wysiłek nic właściwie nie dał. Mówili: przedtem to rozrabiacze działali w rozsypce, teraz tworzą zwartą grupę, stanowią siłę, a świetlica stała się usankcjonowanym uniwersytetem dla groźnych nieprzystosowanych. Mówili, że tych, których trzeba wychować, jest stanowczo za dużo w stosunku do nielicznej garstki, która mogłaby wywrzeć dobry wpływ na gniewnych. Aktyw w imieniu okolicznej ludności chciał odzyskać spokój. Nie chcieliśmy jednak zrywać z tą młodzieżą z browaru. Rozważaliśmy tak — jeżeli sami w swym własnym środowisku nie są zdolni wykrzesać sił, służących terapii, to może warto działać poprzez asymilację? Niech się próbują asymilować w innych, podobnych zbiorowiskach. Staraliśmy się porozprowadzać ich do innych świetlic, mających jakieś wyniki. Kilku poszło do najbliższej świetlicy TPD — wkrótce zginęło tam biurko i firanki. Kilku innych — w innej świetlicy — z miejsca chcieli wszystko przewrócić do góry nogami i urządzić po swojemu. Asymilowanie nie powiodło się. Tylko świetlica na Składowej dała niektórym szkołę. Ci z browaru, którzy tam się zaczepili, od razu trafili na „swoich". Wszedł taki w czapce i z rękami w kieszeniach, to mu powiedzieli w jego własnym języku: „Te, facet, zdejmuj czapę, ale to już!" Jak nie chciał zdjąć, to ją zabrali i facet zima nie zima wracał do domu bez czapki. No, ale na Składowej samorząd popierali wszyscy, wiedział też czego chce.

***

Co robić? Co robić z tym marginesem? Przedstawiciel prezydium rady dzielnicowej sprawę oceniał następująco:

— Widzi pan, w browarze zabrakło organizacji i ludzi dobrej woli, z poświęceniem. Zabrakło ideowych działaczy, choćby z takiej organizacji jak ZMS. Ale skąd brać tych ludzi z poświęceniem? Potrzeby są ogromne. Niech pan policzy tylko to co istnieje i działa w naszej dzielnicy: 27 świetlic społecznych, dwa międzyzakładowe domy kultury, 12 klubów związkowych i spółdzielczych, 21 świetlic zakładowych, 9 placówek ogólnomiejskich, 6 klubów studenckich, 10 bibliotek rejonowych, 15 punktów bibliotecznych... A pracowników płatnych od spraw k-o mamy w dzielnicy tylko trzech. Teraz pan widzi to olbrzymie zamówienie społeczne na ludzi ideowych, z poświęceniem, którzy podjęliby trud pracy w zbiorowiskach gniewnych.

***

Więc szukajmy społeczników. Wydaje się, że eksperyment ze świetlicą w browarze niezupełnie zasługuje na spisanie na straty. Coś dał — wzmocnił oczywistość problematyki młodzieży trudnej i nieprzystosowanej, uczynił z niej sprawę wymagającą przemyśleń różnokierunkowych a nie tylko pieniędzy, lokalu i patronatu. Dopiero gniewni z browaru ukazali potrzeby niedoceniane czy niedostrzegane — potrzeby większego zróżnicowania taktyki i metod. Ale te wszystkie słowa zrozumiałe są dopiero na tle działalności społecznej, działania konkretnych ludzi oddanych sprawie.

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI

O Krzysztofie Baczyńskim

25 lat temu, 4 sierpnia 1944 roku zginął w Powstaniu Warszawskim młodziutki, obdarzony wielkiej miary talentem poeta i żołnierz Krzysztof Kamil Baczyński. Polska literatura straciła być może twórcę na miarę Kochanowskiego, Norwida czy Słowackiego. Być może naszą poezję XX wieku postawiłby w rzędzie największych w Europie. Być może... Cóż, możemy teraz tylko snuć domysły i buntować się wewnętrznie przeciwko naszemu losowi narodowemu, który kazał nam z „brylantów strzelać do wroga", jak to powiedział profesor Pigoń na wieść o śmierci Baczyńskiego. Wyrażenie to tym jest prawdziwsze, że potwierdzone jeszcze tragicznymi zgonami kilku innych utalentowanych poetów-żołnierzy Powstania Warszawskiego jak Tadeusza Gajcego, Andrzeja Trzebińskiego, Zdzisława Stroińskiego i Wacława Bojarskiego.

Ale nawet rezygnując z dalekosiężnych niemożliwych do sprawdzenia domysłów już to, co pozostało w pisanym słowie po dwudziestotrzyletnim poecie, bo tyle lat miał Baczyński, gdy zginął, każe nam go stawiać obok najwybitniejszych liryków polskich. Do takiego porównania prowokuje już nie tylko jego wielkość ale i rodzaj wyobraźni poetyckiej nadzwyczaj żywiołowej. Niestety, przyznać trzeba, że mimo tak wielkich zaszczytów, jakich udzieliła Baczyńskiemu krytyka, pozostaje on i jego powstańczy koledzy po piórze jakoś na uboczu. Zadebiutował „Wierszami wybranymi" jeszcze w czasie okupacji. Po wojnie w 1947 roku ukazał się wybór jego wierszy pt. „Śpiew z pożogi". Następnie zapanowało milczenie wokół niego aż do 1958 roku, kiedy to zaczęto po czasopismach, drukować pojedyncze wiersze i przypominać sobie, że to przecież niepośledni talent. Wreszcie kampanię na rzecz przywrócenia go kulturze polskiej ukoronowało wydanie krytyczne jego „Utworów zebranych" przez najlepszego niewątpliwie znawcę i wielbiciela jego dzieła Kazimierza Wykę. Tenże profesor Wyka napisał także książkę o życiu i twórczości poety pt. „Krzysztof Baczyński", która wyszła drukiem w tym samym roku, co i „Utwory zebrane" tzn. w 1961 w Krakowie. Trzeba jednak stwierdzić, że obie edycje nie bardzo były dostępne dla szerszego ogółu czytelników: „Utwory" przez wysoką cenę (70 zł) i brak selekcji tekstów, co utrudniało poważnie ich lekturę, książka o poecie natomiast przez niski nakład 2000 egzemplarzy i raczej przeznaczenie dla szczególnie zainteresowanych odbiorców. Dopiero „Utwory wybrane" z 1964 roku wypełniły na pewien czas tę lukę na rynku wydawniczym. Ale i te ukazały się tylko w 10-tysięcznym nakładzie i znikły szybko. Ostatnio „Czytelnik" w serii „Poeci polscy" rzucił na rynek księgarski książeczkę z wierszami Baczyńskiego. Jeszcze gorzej rzecz się ma z popularyzowaniem poezji Tadeusza Gajcego, równie przecież znakomitego poety jak Baczyński. W 1952 „Pax" wydał 3 tysiące egzemplarzy jego „Utworów zebranych" i dopiero po 16 latach w 1968 r. Wydawnictwo Literackie obdarzyło czytelników „Utworami wybranymi" w nakładzie półtora tysiąca.

* * *

Był synem zapoznanego krytyka literackiego lat międzywojennych Stanisława Baczyńskiego i literatki pisującej dla dzieci, wielkiej miłośniczki poezji — Stefanii z domu Zieleńczyk. Wzrastał w atmosferze sprzyjającej rozwojowi jego talentu. Baczyński uczył się bardzo przeciętnie, a z niektórych przedmiotów był poniżej przeciętności. Jego kolega szkolny Jerzy Pelc twierdzi, że z matematyki „był po prostu tępy". Nie cenili go nauczyciele elitarnego gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie, ale i on ich też nie cenił. Czuł się źle w szkole. Lubił samotność i umiał być samotny.

* * *

Należał do pokolenia, do którego odnoszą się pesymistyczne słowa jego rówieśnika Tadeusza Borowskiego:

Zostanie po nas złom żelazny
i głuchy, drwiący śmiech pokoleń.

Dziś bez wahania możemy powiedzieć, że zdanie to zawierało więcej poetyckiej kokieterii niż rzeczywistego przekonania. Autor tych słów zaprzeczył im sam swoim życiem i walką. Gdyby ci dwudziestoletni utalentowani chłopcy wierzyli w te proroctwa ich koledzy po piórze, nigdy by nie chwytali za broń w obronie zagrożonych wojną wartości. Trzeba powiedzieć tutaj, że pióro i karabin były uzupełniającymi się narzędziami walki. Hitlerowska nawała niosła nie tylko biologiczną zagładę naszego narodu, ale obracała w popiół wszystkie ideały kultury wypracowane przez starożytnych Greków i nowożytne chrześcijaństwo. Walcząc z niemieckim faszyzmem pokolenie Baczyńskiego było świadome ogromnej wagi zadania ratowania na raz wszystkich tych wartości, a więc zarówno własnego narodu jak i kultury ogólnoludzkiej.

Pokolenie to, aby tworzyć musiało uwierzyć, że pogłębiające się napięcie między jego światem wartości idealnych a światem realnej i koszmarnej rzeczywistości, jest niepowtarzalnym i istotnie odkrywczym przeżyciem i że ów kumulujący doświadczenie akt twórczy jest rzeczywistym wzbogaceniem kultury narodu.

* * *

Napisałem wyżej, że pióro i karabin były uzupełniającymi się narzędziami walki z wrogiem. Karabin ratował naród przed zagładą biologiczną, pióro przed gorszą jeszcze zagładą — kulturową. Zrodziła się wówczas idea literatury wielkiej o uniwersalistycznych tendencjach, stojąca w wyraźnej opozycji do płytkiej literatury agitacyjnej. Powołano się na znane zdanie z Promethidiona Norwida, że „Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej". Był to postulat wychowawczy — organizować wyobraźnię narodu w ramach najszerzej i najgłębiej pojętego humanizmu. Świadomi swojej wyjątkowej roli w kulturalnym życiu narodu narzuconej im przez wielkość chwili historycznej wiedzieli, że własną sztuką ocalają naród. Chcieli mu narzucić swój „pejzaż wewnętrzny" zrodzony z doświadczeń niedostępnych żadnemu przed nimi pokoleniu. Chodziło o stworzenie poezji pogłębionej historiozoficznie i metafizycznie. Na łamach „Sztuki i Narodu" pisał Tadeusz Gajcy: „Zagadnienie sił metafizycznych, wplątanych w zmaganie się człowieka, pozostało nietknięte. Nadchodząca liryka ma to zadanie przed sobą (...) Bodaj w żadnej epoce poezja nasza nie miała tylu szans na pogłębienie metafizyczne, co dzisiaj".

Omawiając credo artystyczne i filozoficzne pokolenia Baczyńskiego daliśmy właściwie za jednym zamachem odpowiedź na pytanie o jego własne credo. Interesujący jest jego stosunek do tradycji poetyckiej. Najpierw przeszedł szkołę Awangardy krakowskiej, potem poznał katastrofistów wileńskich i Czechowicza. Ten ostatni stał się ze współczesnych głównym patronem jego pokolenia poetyckiego. Następnie przyszła faza gwałtownego wchłaniania dzieł Norwida. Przez cały czas obecny był w poczynaniach młodego poety Juliusz Słowacki. Nie nazywałbym zresztą tej obecności wpływem ile raczej zbieżnością typów wyobraźni obu talentów. „Wpływ" bardziej widoczny jest w odniesieniu do Norwida w postaci przejęcia od niego charakterystycznego słownictwa z zakresu rzeźby i pojęć moralnych. Baczyński był jednak w najlepszych swoich osiągnięciach poetą na wskroś oryginalnym. To, co od innych przejmował, przetwarzał tak indywidualnie, że stawało się to jego niepowtarzalną własnością. Owo norwidowskie słownictwo rzeźbiarskie na przykład dematerializuje się u niego i pełni już inną funkcję niż u jego poprzednika. „Dłuto" służy teraz nie do czynienia posągu, ale do kształtowania duszy ludzkiej. Takie pojęcie jak „czyn" możliwe się staje do właściwego odczytania tylko w świetle nowych czasów. Słowa „dzieje" i „historia" nabierają nowych treści, żywych i funkcjonalnych. Niewątpliwie pozostawił Baczyński po sobie kilkanaście co najmniej doskonałych, a może po prostu genialnych wierszy. Kilkanaście, to znaczy bardzo dużo, bo rzadko nawet najwięksi zostawiają więcej. Ich doskonałość polega na niezwykle subtelnym stopieniu w absolutną jedność tradycji romantycznych w sferze wyobraźni (szczególnie dziedzictwo Słowackiego) i tradycji norwidowskiego intelektualizmu oraz językowych doświadczeń awangardowej liryki lat międzywojennych. Nie koniec na tym. To tylko świadczyłoby o wielkiej sprawności warsztatowej. A przecież obcując z dziełem Baczyńskiego doznajemy uczuć prawdziwie wzniosłych, wyższych nad estetyczną przyjemność. Czyni to głębia i autentyczność artystycznego przeżycia chwili historycznej, umiejętność wyrażenia dramatu jednostki uwikłanej tragicznie w tryby molocha dziejów. Ta poezja zniewala nas wielką dyscypliną formalną i emocjonalną. Wyraźnie zauważalna jej epickość, często występujący zbiorowy podmiot liryczny „my" zamiast jednostkowego „ja" chroni ją przed wylewnością uczuć, które widoczne i odczuwalne są w skłębionych, najczęściej ponurych obrazach. Ale choć istotnie przeważa w nich minorowa tonacja, to ogólny wydźwięk poezji jest po stoicku optymistyczny. Niesie ona prawdę marnej i przemijającej ludzkiej egzystencji, ale głosi nakaz miłości i nadziei. Zło pochodzi od ludzi i z nimi przemija. Zasadą świata jest dobro:

Nie płacz, kochana, łat złowrogich,
spod twoich rzęs zielony liść,
ptaki i drzewa trysną, drogi,
po których dalej trzeba iść.
(...)

przeminą ludzie w nienawiści
zostanie trzepot ptasich piór.

Wieczna aktualność Baczyńskiego polega na tym, że wyraził dramat naszej cywilizacji, w której wizja cybernetycznych układów grozi ludzkiej osobowości. Oczywiście chodzi tu o cybernetykę na usługach zła. Jego poezja jest okrzykiem protestu przeciwko zagładzie człowieczeństwa.

SOPOT 69

BERŁO DLA DEBICHA

Dalszy ciąg ze str. 1

za takt, wyrozumiałość i cierpliwość. Chwaliła publiczność — za nienaganne maniery, skromną dystynkcję (jak się wyraziła pewna pani) i świetnie skrojony smoking (jak się wyraził pewien pan). Chwalił go nawet Lucjan Kydryński.

Irena Dziedzic, która trzy lata temu oświadczyła pani Raychowej z Łódzkiego Radia, że na sopockim tronie nie wyobraża sobie nikogo poza Rachoniem, i że gdyby, co nie daj Boże, zabrakło Rachonia, to i ona złożyłaby wymówienie na ręce organizatorów festiwalu — odmieniła widać swoje zdanie i po dłuższej nieobecności stanęła z Debichem na wspólnej estradzie, dając — co jej trzeba przyznać — znakomity popis wdzięku, inteligencji i rzetelnie prowadzonej konferansjerki.

Pan Wróblewski z „Życia Warszawy", który dwa lata temu w tym samym Sopocie szył Debichowi buty, oraz jeszcze kilku redaktorów, którzy podobno znają się na muzyce i także niegdyś bombardowali Debicha gradem wymyślnych zarzutów — siedząc obok mnie na konferencjach prasowych i słuchając pochwał pod adresem orkiestry i dyrygenta — przytakiwali grzecznie głowami.

Zatem Łódź artystyczna, wbrew przeciwieństwom losu, zrosła się trwale z sopockim festiwalem, który przecież w kalendarzu polskich imprez kulturalnych zajmuje niepoślednie miejsce.

2.

Łódź artystyczna to nie tylko Debich i orkiestra.

W drugim „polskim" dniu festiwalu towarzyszyła Lucjanowi Kydryńskiemu młoda spikerka łódzkiej telewizji, Bogumiła Wander, która pomimo widocznej tremy i kilku potknięć pozostawiła po sobie dobre wrażenie.

Przez cały czas oglądaliśmy na estradzie modelki z łódzkiej „Telimeny", wręczając kwiaty piosenkarzom, prezentowały przy okazji licznie zebranej publiczności i telewidzom nieprzebraną kolekcję strojnych sukienek. Tych sukienek było tak dużo, że już żadnej nie pamiętam.

Wreszcie Janusz Rzeszewski — naczelny reżyser festiwalu. Też przecież łodzianin. Chociaż...

— Prawda to, panie Januszu — zapytałem mistrza podczas jednej z prób — że przenosi się pan do Warszawy?

— Niestety.

— Niestety, to znaczy „tak", czy „nie".

— Tak.

— I co: nie żal panu Łodzi?

— Och... bardzo!

Jeśli to, co ja tu wypisuję, przeczyta jakiś warszawiak albo nawet krakowianin — pomyśli nie bez racji, że to wszystko pachnie niebywałą prowincją. Ale jeśli to przeczyta Jerzy Falkowski, to mnie zrozumie, bo przecież sam jeździ do Warszawy z Otwocka.

3.

Jak to się dzieje, że mając znakomitą orkiestrę, znakomitych konferansjerów i znakomitą Operę Leśną — nie możemy doczekać się w Sopocie znakomitych wykonawców?

No bo kto znalazł się w tegorocznym programie? Zgoda — świetny był Musilim Magamajew ze Związku Radzieckiego, którego potężny, niemal operowy głos na długo pozostanie w naszej pamięci. Szczere i zasłużone brawa zbierała Hiszpanka Conchita Bautista. Mogli się podobać: Patsy Maclean z Anglii, Yordanka Christowa z Bułgarii, El Jilguero ze swoim, pełnym temperamentu kubańskim zespołem i Francuz Henri Tachan, którego mimika i dramatycznie ekspresywne gesty znalazły na szczęście uznanie jurorów. Ale jeśli wymienimy jeszcze przedstawiciela Szwajcarii Henri Desa, Amerykanina Johna Sittingsa i Węgra Gyorgy Korda — to na nich w zasadzie kończy się lista tych, którzy mieli cokolwiek do powiedzenia. Paru utalentowanych piosenkarzy (Lou Satton, Tereza Harangoza, John Burness, Virginia Vee, Michal Belter), którzy wystąpili poza konkursem albo w Dniu Płytowym — nie zatarło wrażenia nudy, która towarzyszyła sopockiej imprezie podczas długich wieczorów.

Poważne zastrzeżenia budzili także reprezentanci Polski. Żałować należy, że nie wystąpiła któraś z naszych renomowanych gwiazd — German czy Santor. To, co zademonstrowały: Joanna Rawik, Rena Rolska i Jolanta Borusiewicz — było ze wszech miar przeciętne. Z zespołów młodzieżowych dobrze wypadły Ali-Babki, a wręcz doskonale przedstawił się Brekout wzmocniony doskonałym naszym saksofonistą jazzowym, Włodzimierzem Nahornym, Skaldom — o czym już wspomniałem — nie dopisała aparatura, a Wojciechowi Młynarskiemu, któremu nie wiadomo jakim prawem przypadł w udziale zaszczyt zakończenia koncertu „Piosenka nie zna granic", nie dopisał tym razem repertuar i jakkolwiek ktoś mnie może posądzić o złośliwość, powiem szczerze, że wstydziłem się za tego piosenkarza — amatora upłynniającego na tak poważnej imprezie swoje remanenty.

Trzeciego dnia festiwalu, w przerwie koncertu, podszedłem do człowieka, który w sopockiej imprezie odgrywa rolę niepoślednią:

— Chciałem się dowiedzieć — mówię — czy my w ogóle posiadamy w tym kraju jakichś piosenkarzy?

— Oczywiście. Jest kilku.

— Kto?

— No, Villas, Santor, German, Burano, Niemen...

— Więc czemu nie trafili do Sopotu?

— Bo trzeba dać szansę młodym.

— To kto jest niby taki młody? Joanna Rawik?

— Nie. Jolanta Borusiewicz.

— Ale my przecież chcemy słuchać śpiewu.

— Do mnie pan ma pretensję?

— Nie. Ale chciałbym wiedzieć, po co urządza się festiwal: żeby bawić ludzi, czy zapychać luki w telewizyjnym programie?

— To jest głośna, kulturalna impreza, popularyzująca za granicą nasz kraj, muzykę i piosenki.

— Powiedzmy. Mówił nam na konferencji prasowej pan Dobierski (dyrektor PAGART-u), że jak do tej pory, to sprzedaliśmy za granicą dzięki ośmiu festiwalom aż.. dwa utwory.

— Niech pan doda do tego jeszcze te dwa, które sprzedaliśmy wczoraj.

— Bardzo ładnie. Oby się przyjęły.

— Oby.

— A czy mógłby mi pan powiedzieć — pytam — dlaczego wpuszczamy na sopocką estradę tylu zagranicznych przeciętniaków?

— Kraje demokracji ludowej przysyłają nam dobrych wykonawców, pierwszy, w najgorszym razie drugi garnitur.

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

Gdy Luftwaffe atakowała Polskę

Słoneczny poranek wrześniowy zdawał się wróżyć szczęśliwy, beztroski dzień. Niezmącona cisza została nagle zakłócona niespodziewanym, basowym pomrukiem. Najpierw dalekim — ledwie dosłyszalnym, potem coraz bardziej narastającym, zamieniającym się w złowrogi i groźny grzmot silników lotniczych, nisko lecących maszyn...

Do lotniskowych stacji dowodzenia napływały pośpieszne i niewiarygodne meldunki z przygranicznych punktów obserwacyjnych: „...z niemieckich lotnisk startują samoloty i biorą kurs na Polskę..."

Ktoś machinalnie spojrzał na zegarek. Godzina czwarta...

Liczne eskadry dorniérów Do-17, heinkli He-111, junkersów Ju-87 zasłaniały niebo chmarą samolotów. Jedne bez, inne w osłonie myśliwców — świetnych messerschmidtów Me-109, przelatywały granice Trzeciej Rzeszy, kierując się ku Polsce. Najpierw ten ciężki, basowy pomruk, nieco przerywany, coraz to głośniejszy, a po nim... przeraźliwy, a jednocześnie melodyjny — podobny do pracującej tartacznej piły — terkot pokładowych karabinów maszynowych. Skrzydła i kadłuby tych maszyn „ozdobione" były precyzyjnie wymalowanym czarnym krzyżem w białej obwódce. Zaś stateczniki kierunkowe, dla odmiany, „dekorowały" swastyki hitlerowskie. Pociski karabinów maszynowych ryły wąskimi rowkami ziemię, kurząc tuż koło bydła pasące go się na łąkach i ludzi biegających w panice. Jednych omijały, innych godziły śmiertelnie.

Od ciemnych kadłubów dorniérów i heinkli odrywały się błyszczące w słońcu, srebrne cielska bomb, spadających z przeraźliwym świstem ku ziemi, rozrywając i burząc mury zabudowań, paląc wszystko, co na swej drodze spotkały. Tumany kurzu, woń spalenizny i potężne kłęby czarnego dymu, unosiły się nad lotniskami, wsiami i miastami.

Szosami i drogami ciągnęły nieliczone pielgrzymki uciekinierów wraz z całym inwentarzem i dobytkiem, biorąc szosy nawet własnej armii. Uciekali na wschód — ku stolicy — jakby tam szukali miejsca spokojniejszego i bezpieczniejszego. A tuż za nimi toczyły się po drogach, wydzwaniając ciężko gąsienicami — hitlerowskie czołgi i wozy pancerne.

— Gdzie nasze lotnictwo? — pytali ludzie. — Gdzie nasze myśliwce pokazywane na defiladach?

Jeszcze nie wiedzieli, że duża część naszego sprzętu lotniczego została zniszczona na ziemi, podczas bombardowań lotnisk — zanim samoloty zdążyły wzbić się w powietrze. Niemcy rzucili na Polskę około czterech tysięcy bombowców. Nasze lotniska pierwsze odczuły siłę zaskoczenia niemieckiej Luftwaffe. Mimo to przeliczyli się niemieccy sztabowcy sądząc, iż zniszczą polskie lotnictwo błyskawicznym atakiem, zaraz w pierwszym dniu napaści.

Większość naszych samolotów zdołano przerzucić jeszcze w końcu sierpnia na liczne lotniska polowe, ratując w ten sposób sprzęt lotniczy i samoloty przed zniszczeniem w hangarach. Zorganizowano brygady: pościgową i bombową, które miały operować z tych właśnie lotnisk polowych. Między innymi, część brygady pościgowej stacjonowała w folwarku Widzew pod Łodzią, a brygady bombowej — w Kucinach.

Brygada pościgowa, wyposażona w pięćdziesiąt cztery samoloty P-7 i P-11 (PZL) rozpoczęła swe działania już w pierwszym dniu wojny. Wczesnym rankiem z północy kierowały się bombowce niemieckie ku Warszawie. Leciały majestatycznie, powoli, obładowane bombami przeznaczonymi dla stolicy. Osiemdziesiąt dornierów i heinkli, którym towarzyszyło dwadzieścia zwinnych messerschmidtów. Na lotnisku w Poniatowie alarm bojowy. Startują polskie „płaszczaki". Klucz za kluczem strzela „świecą" ku błękitowi nieba. Zadanie: za wszelką cenę nie dopuścić hitlerowców do stolicy. Początkowo maszyny nie nawiązują walki, jakby chciały ocenić siłę przeciwnika. Ostrożne podchodzenie, okrążanie przypominające zabawę w ciuciubabkę.

Pierwszy zdecydował się nawiązać kontakt ogniowy porucznik pilot Aleksander Gabszewicz, ze swoim kluczem myśliwskim. W ślad za nim poszły i inne klucze. Walka, najpierw chaotyczna, zmienia się w regularne działanie bojowe. Niemieckie bombowce rozpraszają się w panice, zrzucając bomby na przedpolach Warszawy. Uciekały w popłochu. Walkę z Polakami nawiązują myśliwce. Zaciekły bój trwa, ale Polacy zdają sobie sprawę, że niemieckie samoloty Me-109 mają dużą nad nimi przewagę. Piloci niemieccy po prostu nawiązują walkę, o ile tego pragną, w przeciwnym przypadku dodają „gazu" i uciekają z przewagą swoich dwustu kilometrów na godzinę. Myśliwce brygady pościgowej spostrzegają też potężniejszą niż w naszych samolotach siłę ognia Niemców. Ale walczą zaciekle, heroicznie, chcą zniszczyć wroga. Walka powietrzna, najpierw zbiorowa, przechodzi w indywidualne pojedynki. Spadają nieczarny warkocz dymu. Rozbijają się mieckie myśliwce, ciągnąc za sobą na ziemi, eksplodują i płoną.

Po zaciętej walce Polacy odnoszą zwycięstwo.

Bombowce niemieckie przylatują ponownie w godzinach popołudniowych. I znów myśliwce z Poniatowa staczają z nimi zaciekłą walkę, nie dopuszczając Niemców nad stolicę.

Porucznik Gabszewicz stacza walkę z Me-109. Niespodzianie „na ogon" natłuje mu inny meesserschmidt i zapala maszynę Polaka. Gabszewicz ratuje się skokiem ze spadochronem. Kiedy czasza jego spadochronu zawisła w przestrzeni, jeden z Niemców strzela doń niecelnymi długimi seriami, usiłując zabić bezbronnego lotnika w powietrzu. Był to pierwszy przypadek w II wojnie światowej strzelania do lotnika, ratującego życie przy pomocy spadochronu. Gabszewicz szczęśliwie ląduje z poparzoną twarzą i rękami w pobliżu Poniatowa. Ale wylądował tylko dlatego, że koledzy jego, widząc strzelającego doń hitlerowca, zaatakowali go na swych P-11 i strącili.

Tego dnia, pierwszego dnia wojny, myśliwcy z brygady pościgowej, stacjonującej w Poniatowie, strącili czternaście maszyn niemieckich. Sukces to niebywały, ale straty własne też były olbrzymie. Z pięćdziesięciu czterech samolotów tylko dwadzieścia nadawało się do akcji w dniu następnym. Mechanicy dwoili się i troili, naprawiając uszkodzone „jedenastki", ale już w pierwszym dniu wojny ujawniono braki zaopatrzeniowe, znacznie utrudniające walkę pilotom i pracę mechanikom. Przede wszystkim brak było zapasowych śmigieł i luf do karabinów maszynowych, które szybko się zużywały w czasie bezustannego funkcjonowania. Najbardziej odczuwano brak słuchawek i mikrofonów do radiostacji pokładowych, nie mówiąc już o niedostatecznym wyposażeniu pilotów w mapy i ciepłą odzież, tak bardzo potrzebną, a nieraz wprost niezbędną, w lotach wysokościowych. Rozregulowane wskutek intensywnej pracy przyrządy uzgadniające strzelanie, jak i stara amunicja były przyczyną częstego przestrzeliwania śmigieł własnymi kaemami. Powstałe w śmigłach otwory zabijano kołkami. Okazało się także, że lotniska polowe nie były należycie przygotowane — szczególnie lotniska dla maszyn bombowych okazały się za krótkie i niewystarczająco wyposażone. Już w pierwszym dniu walk dostrzeżono duże braki w sprzęcie i zaopatrzeniu. W czasie walk okazało się, że samoloty P-7 — poza innymi wadami — posiadają najważniejszą, najbardziej dla pilotów uciążliwą: częste zacinanie się karabinów maszynowych typu Vicker, niemożliwe do usunięcia w powietrzu. Mimo tych ciężkich warunków, polscy lotnicy strącili, od 1 do 16 września 1939 roku, sto trzydzieści sześć samolotów nieprzyjaciela, ponosząc również duże straty: dwunastu zabitych i kilkunastu rannych oraz zniszczenie sprzętu w około 60 proc.

24 września 1939 r. na wschodnich rubieżach kraju, kpt. pil. Edmund Piorunkiewicz organizuje samorzutnie pluton wywiadowczy, wyposażony w jeden samolot PWS i dwa RWD-8 (samoloty turystyczne). Pluton ten do dnia 4 października obsługiwał grupę „Polesie" gen. Kleeberga. Wykonywano nie tylko loty rozpoznawcze i łącznikowe. Kpt. pil. Piorunkiewicz, latając razem z por. Wodnickim, z braku bomb, zrzucał na lotniska niemieckie i przegrupowania w marszu — ręczne granaty. Był to jedyny przypadek tego typu, który, w jednym z czasopism niemieckich, opisywał naoczny świadek, pewien żołnierz niemiecki.

Bojowe akcje polskiego lotnictwa bombowego w kampanii wrześniowej 39 roku zajmują osobną kartę w historii lotnictwa polskiego.

— A Zachód?

— Z Zachodem sprawa jest skomplikowana. Raz, że za występ płacimy tylko pięćset złotych, dwa, że nawet jak by się na taką sumę połakomił ktoś z tak zwanych światowych nazwisk — na przykład Sinatra albo Doris Day — to zaraz by chciał, żeby mu zagwarantować zwycięstwo, gdyż najmniejsza nawet przegrana naraziłaby na szwank jego sławę.

— Czyli Zachód traktuje nasz festiwal jako trampolinę dla początkujących?

— No, niezupełnie. Wielka Brytania i Francja od lat przysyłają do Sopotu utalentowanych i dosyć znanych piosenkarzy.

— A Holandia, Belgia, Irlandia, Finlandia, Norwegia, Włochy, Luxemburg?...

— Co... nie podoba się panu Henri Seroka?

— A panu?

— Uważam, że jest całkiem sympatyczny...

Inni też tak uważali. Więc dziewiętnastoletni reprezentant Luxemburga, Henri Seroka, który wykonał w Dniu Międzynarodowym banalny raczej „Walc z dzieciństwa" — otrzymał nieoczekiwanie nagrodę akredytowanych przy festiwalu dziennikarzy, co tylko pozornie wydaje się nieporozumieniem, biorąc pod uwagę fakt, że czterej kontrkandydaci Seroki do tego wyróżnienia przedstawiali się jeszcze żałośniej.

4.

Na początku sierpnia niektóre gazety donosiły, że na ogólne życzenie publiczności wystąpi w Sopocie Czesław Niemen. Toteż, skoro tylko ruszył festiwalowy młyn i rozpoczęło się długie pasmo konferencji prasowych — dziennikarze przy każdej okazji wypytywali o tego piosenkarza. Odpowiadano im, że Niemen jest za granicą i nie można się z nim w żaden sposób skontaktować, więc jego występ stoi pod znakiem zapytania...

Ale Niemen przyjechał do Sopotu. I to z Włoch. W nocy z czwartku na piątek zatrzymał się przy ulicy Grottgera jedenaście, ogromny biały „ford", z którego wysiadł człowiek ubrany w kolorowe szaty. W ciągu następnych dni człowiek ten wywoływał sensację: biały „ford" pojawiał się w różnych punktach miasta oblegany przez wielotysięczne tłumy.

Wieść o tym dotarła, rzecz jasna, do dziennikarzy. Więc na kolejnych konferencjach prasowych znowu pytano o Niemena. Wystąpi czy nie wystąpi? Przecież jest znakomity?! Przecież ten pan, co przyjechał z Anglii, wielki znawca beatu i czołowy prezenter Radia Luxemburg, oświadczył wobec organizatorów i prasy, że jest to talent na światową miarę?...

— Nie wystąpi — powiedzieli organizatorzy.

— Dlaczego?

— Bo dał urlop swojemu zespołowi i nie ma kto mu akompaniować.

Postanowiłem poddać próbie słowa organizatorów i zacząłem polować na Niemena.

Po finałowym koncercie, na pożegnalnym cocktailu w Grand Hotelu, udało mi się odciągnąć go na stronę.

— Prawda to — zapytałem — że rozpuścił pan na urlop swoich chłopaków z „Enigmatic"?

— Nie.

— Więc chciał pan wystąpić?

— Oczywiście. Przecież po to przyjechałem.

— To chyba czuje się pan skrzywdzony?

Milczy.

— Jeszcze jedno pytanie: słyszałem, że dwa razy stawał pan do egzaminu przed komisją weryfikacyjną, żeby uzyskać dyplom artysty estradowego?

— Tak.

— I co?

Fot. A. Dębowski

— Nic. Zdałem teorię, bo jestem przecież nie tylko piosenkarzem, ale także muzykiem. Komisja jednak stwierdziła, że w ogóle nie umiem śpiewać...

Nie jestem bałwochwalczym wielbicielem Niemena. Nie mam zamiaru rozdzierać o niego szat. Ale czy to wszystko nie świadczy, że w naszym przemyśle rozrywkowym dzieją się rzeczy co najmniej dziwne? Przecież dyplom artysty estradowego ma w tym kraju parę tysięcy chałturszczyków, z których kilku co rok trafia na sopocką scenę.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Eugeniusz Iwanicki

SWETER

Żona opowiada: było to w Dusznikach, latem, kiedy w pijalni panuje wzmożony ruch, a woda w burych fontannach staje się ciepła i wstrętna. W takie dni na klombach umierają zapomniane kwiaty, a ogromne palmy nie dają prawie cienia. Trzeba albo zanurzyć się w wilgotnym lesie, albo zaopatrzywszy się w napoje leżeć w mrocznym pokoju zasłoniwszy okna ciężkimi kotarami. Słowem żar, chandra, ociężałość i pustka. Mąż i córka, którzy z natury są istotami niecierpliwymi, pognali gdzieś nad czeską granicę albo do „Muflona", lub po prostu na koncert. Nie zauważyłam, by odczuwali ten obłędny ogień zalewający kotlinę wciśniętą pomiędzy górami.

Leżałam w naszym pokoju, na niskim skrzypiącym łóżku, które mogłoby opowiedzieć o niejednym zdarzeniu, jakie wydarzyły się w tym nieprzytulnym i smutnym pomieszczeniu. Było duszno, ogarniała mnie senność. Tandetna szafa zlewała się z szarą lamperią, tworząc nieprawdopodobny, surrealistyczny pejzaż. I nagle ujrzałam tę dziewczynę. Siedziała na łóżku, w którym sypiał mąż. Jej długie, czarne włosy opadały na opalone ramiona. Odsłonięte ręce były smukłe i piękne. Miała ruchliwą, dziecięcą jeszcze twarz, pełną przekory i śmiechu.

Musiałam się zdrzemnąć, nie zauważyłam bowiem kiedy weszła. Milczałam. Dziewczyna wpatrywała się we mnie natarczywie, lecz czułam, że za chwilę się uśmiechnie.

— Wróciłam po sweter — odezwała się wesoło. — Tam, w górach, jest przeraźliwy wiatr.

— Po sweter? Ależ tu nie ma żadnego swetra! Pani pomyliła pokoje.

Dziewczyna odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła poprawiać włosy.

— Leży w szafie, na dole — i nachylając się do mnie, dodała z powagą. — Przecież to jest pokój 23, więc jak mogłam się pomylić...

Wstała i podeszła do szafy. Surrealistyczny pejzaż przesunął się w prawo, a w jego miejsce zjawił się rząd symetrycznych półek.

— O, widzi pani! — Dziewczyna wyjęła gruby szary sweter, którego na pewno nie było w naszej szafie. Był to obcy przedmiot garderoba jakiej nie używaliśmy w okresie tegorocznych nieprawdopodobnych upałów. Dojrzałam zakopiańskie wzory, ostre i jaskrawe nawet w panującym półmroku.

— W górach jest chłodno — powiedziała w zamyśleniu dziewczyna. — Jest bardzo chłodno.

Zamknęła szafę, zwinęła sweter, uśmiechnęła się i wyszła.

Byłam zdziwiona, nie wiedziałam co robić. Może to zwykła złodziejka, jakich nie brak w miejscowościach wczasowych, albo po prostu pomyliła się i weszła do niewłaściwego pokoju. Jednakże sweter na pewno nie był nasz, nigdy takiego nie mieliśmy, to wiedziałam na pewno. Wiedziałam również i to, że tego swetra nie było tu nigdy gdy zajmowaliśmy pokój.

O odpoczynku, oczywiście, nie było mowy. Wieczorem opowiedziałam o tym zdarzeniu mężowi, następnie paniom z piętra, w końcu kierownikowi.

— To dziwne — zamyślił się. — To bardzo dziwne. Czy była w białej sukience w błękitne groszki

— Właśnie. Miała rozpuszczone, piękne włosy. Była bardzo ładna.

Kierownik nagle się roześmiał: — Jest pani przemęczona. Rozkojarzenie wyobraźni jest wynikiem obsesyjnej i wyczerpującej pracy. Pani winna wypocząć, bez marzeń, snów, bez powieści kryminalnych. Tu są wczasy i tu wymaga się bezczynności. Dziś zobaczyła pani dziewczynę, jutro zjawi się uzbrojony dusiciel, a pojutrze smok o dwunastu głowach...

Jego słowa nie przekonały mnie. Wyczułam w nich nieszczerość. Wydawało mi się, że wolałby mówić zupełnie o czym innym.

Również mąż i córka zaczęli szeptać do siebie i ostentacyjnie usiłowali nakłonić mnie do wspinaczki na opuszczoną skocznię narciarską. W ich oczach dostrzegłam niepokój. Nie wierzyli mi, nawet oni, którzy nie mieli podstaw, by o cokolwiek mnie podejrzewać.

Wieczorem zapukała do naszych drzwi kucharka. Była to stara kobieta, o białych, miękkich włosach. Była podobna do cienia, który na chwilę zatrzymał się na tle szarej lamperii nieprzytulnych ścian wczasowego pokoju.

— Znałam tę dziewczynę — powiedziała cicho. — Zresztą, kto jej tu nie znał... Zginęła w Górach Stołowych w czasie wycieczki, za mocno ponoć wychyliła się, czy co, nie wiem dobrze. Pamiętam jeno, że wśród pozostawionych rzeczy, szukano wtedy jakiegoś swetra, który miał być w szafie, ale go nie odnaleźli. A pani mówi, że go zabrała? Dziwne, widocznie leżał tu od początku, tyle, że nikt go nie zauważył. Tak, tak, to była bardzo ładna dziewczyna...

Nazajutrz wyjechaliśmy nie czekając na zakończenie turnusu.

PÓŹNY POWRÓT

Żona opowiada: zdarzyło się, że pewnego upalnego lata, na początku lat sześćdziesiątych, wracałam na wieś, gdzie w wynajętym mieszkaniu usiłowaliśmy zapomnieć, że istnieje coś takiego jak cywilizacja. Była noc. Ciemna i duszna, przepełniona goryczą wysuszonych traw. Od kilku kwadransów goniła mnie burza gubiąc w bezsilności poplątane strumienie błyskawic. Czułam się bardzo samotna i zagubiona w tej gorącej i głuchej nocy, pozbawionej wiatru i światła. Stara „warszawa" z trudem wlokła się przez czerń piaszczystej drogi, pełnej wyboi i kamieni. Dostrzegałam monotonny krajobraz wyłuskiwany reflektorami, przypominający pejzaże z niesamowitych filmów. Zatracałam poczucie czasu; wydawało mi się bowiem, że podróż trwa od bardzo dawna, że właściwie trwa od niepamiętnych czasów, i że chyba nigdy nie dotrę do wioski, gdzie czekają na mnie mąż i córka.

Rys. M. Łaniewska

W lusterku raz po raz pojawiały się oddalone błyski doganiającej mnie burzy. Było coś niezwykłego w tej mojej podróży, nawet jazda wydawała się inna niż dotychczasowe. Czułam wyraźnie, że samochód staje się obcy, że moje wysiłki zmierzające do panowania nad kierownicą napotykają ledwo wyczuwalny, lecz zdecydowany opór.

Zapaliłam papierosa i usiłowałam cokolwiek dojrzeć. Drogi rozwidlały się, krzyżowały, ginęły w nocy. Byłam zła na siebie, zmęczona, śpiąca. Odurzał mnie warkot silnika, zapach spopielałych w słońcu traw, monotonia.

Dochodziła północ. Czyżbym zabłądziła?! Oddalone dudnienia przypominały o pośpiechu. Ale jak długo można uciekać? Przecież od kilku godzin powinnam znajdować się wśród swoich. Dokąd właściwie jadę? Na północ? Wschód? Zachód? Ciągle zakręty, serpentyny, ostre wielokrotne wiraże, bliźniacze przydrożne słupki, rzadkie pokurczone drzewa. Chwilami miałam wrażenie, że kręcę się po jakiejś zwariowanej okrężnicy, o której nikt w okolicy nigdy nie słyszał.

Postanowiłam wyrwać się z tego obłędnego wirowania i pojechać jakąś inną, może szczęśliwszą drogą. Po kilkunastu minutach wjechałam na wyżwirowany trakt ze złamanym drogowskazem. Po obu stronach ciągnęły się rowy z połyskującą wodą. Więc gaz, gaz do końca, ile tylko wytrzyma rozklekotana „warszawa"! Przecież ta nieprawdopodobna jazda musi się wreszcie skończyć!

Nie zauważyłam, kiedy pojawiły się płoty, a za nimi przykucnięte w ogródkach domki. Wieś spała. Niesamowitość dachów, sklębienie drzew, sterczące kominy, przywodziły na pamięć krajobrazy z płócien malarzy-schizofreników.

Zostawiłam samochód na drodze i zaczęłam dobijać się do czarnych domów, waląc co sił w nieruchome okiennice. Wołałam by otworzono, krzyczałam coś o burzy, o strachu, żebrałam o światło. Odpowiadało mi milczenie i błąkające się za ścianami echo. Usiłowałam odnaleźć psy, ale budy stały puste, łańcuchy pozrywane lub wrzucone do wewnątrz. Czułam jak przyczajony dotąd strach stara się wyswobodzić i wśród tej potwornej nocy, usiłuje wyszczerzyć swoje wielkie, obłędne oczy. Miałam wrażenie, że przeszła tędy zaraza, że ludzie w panice opuścili zapowietrzone zagrody.

W końcu dostrzegłam światło. Było słabe, ledwo sączyło się z wąziutkiego okienka schowanego za żywopłotem. Pchnęłam więc ciężką furtkę, która ustąpiła bezszelestnie i znalazłam się na udeptanym podwórzu. Zapukałam do ledwo widocznych drzwi, a gdy nikt nie odpowiedział, weszłam.

To co ujrzałam, sparaliżowało mnie. Nie miałam siły by się cofnąć. Na stole, w kwiatach, pośród płonących świec, stała trumna ze zwłokami surowego wąsatego starca. Jego ledwie przymknięte oczy zdawały się mnie obserwować, a ściągnięte brwi były gniewne i groźne. W pokoju unosiła się słodkawa woń przebijająca się przez dym z kopcących świec i zapach więdnących już kwiatów. Było cicho, tylko za oknem dudniła nadciągająca burza.

Cofnęłam się, zamknęłam za sobą drzwi i zaczęłam biec do furtki.

— Halo! — usłyszałam nagle za sobą przytłumiony, świszczący głos.

Zdrętwiałam. Pojęłam, że to koniec.

— Pani kogoś szuka? — głos przybliżał się, już był obok, w końcu ukazała się starsza kobieta o zupełnie białych włosach. W skąpym blasku padającego z okna światła, wyglądała na czarownicę.

Stałyśmy w milczeniu. Kobieta obserwowała mnie spokojnie, bez zbytniej natarczywości. Poprzez huk burzy dolatywał warkot „warszawy".

— Pomyliłam drogę — wyszeptałam nieposłusznymi ustami. — Jadę do Starej Huty...

Biała staruszka bez słowa wyszła na drogę, wyciągnęła trzęsącą się rękę w kierunku nocy i głucho powiedziała:

— Stara Huta jest za tym laskiem, wszystkiego kilometr...

Nie widziałam lasu, bieliła się jedynie jej niesamowita głowa, a w nagłych spięciach błyskawic pojawiały się rzędy dachów i płotów.

Nawet nie podziękowałam. Silnik przeszedł na najwyższe obroty, drobne kamyki uderzyły o podłogę, rzędy drzew uciekły na boki.

Po kilku minutach byłam w domu. Pierwsze krople spadły mi na włosy, gdy biegłam przez podwórze. Nikt nie spał, czekano na mnie. Od podmuchu wiatru płomień w lampie niespokojnie podskakiwał, kołysał się, przygasał. Uwiązany przy oborze kundel wył przejmująco.

Pijąc zimne mleko opowiadałam o swojej przygodzie i strachu jaki przeżyłam. Córka, która jeszcze wierzy w bajki, duchy i czarownice, przytuliła się do męża.

— To dziwne — odezwał się nasz gospodarz. — Tu za lasem nie ma żadnej wioski. Najbliższa, Karczmy, za rzeką, będzie tak ze sześć kilometrów, może trochę więcej. A za lasem są tylko bagna i torfowiska...

I mimo moich zapewnień, że trafiłam do pustej wioski, nikt mi nie uwierzył. Zresztą nie wierzą do dziś.

ZYGMUNT MARCZEWSKI

MATCE

Po chwiejnym moście stąpa radość
i świątki w rzędach w bliskiej odległości
zdziwione modlitwy schną na wargach

miłości
jedyna gałązko z rąk przeszłaś do piersi
które odległe zbierają owoce...

Zanieść ci nieba owiane spokojem
czerwone biedronki na wargi cierpliwe
cierpienie odnieść na dalekie krzyże

Bo gdy dłoń jasną kamień ci zamieni
w przepiórcze skrzydła
lub piasek rzuci miraż
widzę zmrużenia na szyi pochyłej

trwasz
nad pustynią siwe pole moje
zatrzymać cię ziarnem
w słońcu umieścić

Odpowiadając Anonimowi

Ludzi chodzących na wystawę i interesujących się sztuką można śmiało podzielić na dwie grupy: a — postrzegających, b — rejestrujących. Pierwsi znalazłszy się przed obrazem przeżywają fakt artystyczny spełniony w formie kadru zamalowanego płótna, w pierwszym rzędzie. Później dopiero zadają pytanie — kto jest autorem. Taki kontakt z dziełem jest chyba autentyczny i naturalny. Przedstawiciele grupy — b — muszą najpierw obejrzeć podpis, firmę, nalepkę. Odpowiednio renomowane nazwisko wywołuje zatem zachwyt bez opamiętania, zaś nazwisko nieznane kwitują filozoficzną zadumą mogącą oznaczać zarówno pełną samowiedzę, jak też ślepotę i niewrażliwość. Z upodobaniem r e j e s t r u j ą jakość firmy, jakby chodziło o markę samochodu czy kosmetyków. Są produktem snobistycznej presji otoczenia na koneserstwo w dziedzinie sztuk pięknych. Ludzie rozsądni oglądając coś czego nie znają i nie rozumieją, w takich wypadkach mówią: nie rozumiem. Jest to uczciwe. Osobnik r e j e s t r u j ą c y mający za sobą kilka popularnych bryków z zakresu estetyki, historii sztuki i załóżmy uniwersyteckie wykształcenie, czuje się znacznie pewniej. Uzurpuje sobie prawo wyrokowania bezwzględnego i autoratywnego. Powiada: to jest złe, a to dobre — i jest to nieuczciwe. Jak wiadomo na sztuce „znają się wszyscy", lub prawie wszyscy. Zjawisko jako nagminne można by uznać co najwyżej za przykre, gdyby nie fakt, że wielu z tych ludzi czuje się zobligowanymi opinię swą jako obowiązującą rozpowszechniać nie przy małej czarnej, ale na łamach czasopism i jest to nieznośne. Tym sposobem powstają legiony sezonowych recenzentów sztuki, wykorzystując kanikularne luki w zespołach redakcyjnych, by swą niekompetentną produkcją wypełnić dział przeznaczony sprawom plastyki.

***

W artykule pt. „Komu mają służyć wystawy" zamieszczonym w nr 32 „Odgłosów" z dnia 10 sierpnia 1969 r., którego autor podpisał się Anonim, znalazły się uwagi krytyczne wobec organizatorów tegorocznej okręgowej wystawy ZPAP w Łodzi, na które jako komisarz tej wystawy odpowiadam.

1) Anonim ubolewa nad małą ilością katalogów (40 egzemplarzy), udostępnionych publiczności w dniu otwarcia wystawy. Wyjaśniam, że tych 40 sztuk z 400 organizatorzy uzyskali cudem z drukarni, która nie zdążyła na czas z drukiem kolorowych reprodukcji, jakie w myśl projektu katalog winien był zawierać. Tych 40 sztuk katalogów zawierało tylko reprodukcje czarno-białe, na pozostałe kilkaset sztuk trzeba było czekać.

2) Anonima zirytował brak podpisów pod wystawionymi pracami, co skłoniło go do rozwinięcia przed oczami czytelników ponurej wizji sztuki anonimowej. „Wydawnictwa wypuszczałyby książki bez nazwisk autorów, z sal koncertowych popłynęłaby muzyka tworzona przez anonimów, filmy pozbawione były czołówek. Powrócilibyśmy do czasów średniowiecznego anonimowego malarstwa cechowego".

Kto wie czy to byłoby najgorsze? Ponadto pragnę uświadomić Anonima, że niekoniecznie musimy się cofać do średniowiecza, aby natrafić na programowe unikanie sygnatur pod obrazami. Neoplastycyzm dążąc do sztuki uniwersalnej pragnął wyeliminować piętno autorstwa z dzieł do tego stopnia, że prac nie podpisywano, podobnie zresztą jak w najbardziej bojowym okresie kubizmu analitycznego. Publiczność tego czasu nie popadała z tego tytułu w bezdenną rozpacz. Anonim może mi zareplikować, że na wystawach okręgowych zwyczaj umieszczania informujących podpisów istnieje. Istotnie. Gdyby Anonim pilnie się rozejrzał, to w swych próbkach krytycznych nie musiałby numerować obrazów w miejsce autorów, gdyż przeważająca część prac była sygnowana. Gdyby natomiast zechciał przyjść na wystawę w kilka dni po otwarciu to spostrzegłby pod każdą pracą schludne napisy informujące co, kto, co i dlaczego. Słowem, pisząc o wystawie warto ją obejrzeć kilka razy, opis będzie wnikliwszy, a może i poziom wydałby się nie najniższy.

***

Uwagi tyczące spraw technicznych wystawy, skreślone przez Anonima można przyjąć w całości lub częściowo i ustosunkować się do nich, jak do każdej uwagi zamieszczonej w książce zażaleń. Wszystko byłoby w najlepszym porządku gdyby nie fakt, że autor artykułu „Komu mają służyć wystawy" nieoczekiwanie i absolutnie niekompetentnie przeszedł do omówienia poziomu artystycznego eksponowanych prac. Brak podpisów był dlań tak oczywiście degustujący, iż ocena artystycznego wysiłku łódzkiego środowiska wypadła co najmniej fatalnie. „Poziom artystyczny tegorocznej wystawy był, niestety, niższy niż w ubiegłych latach" — stwierdza Anonim, a dalej: „Po obecnej wystawie widać najlepiej, że łódzcy plastycy są zmęczeni i wyeksploatowani twórczo po rozlicznych konkursach i po poprzednich z n a k o m i t y c h (podkr. moje) wystawach, jakie zorganizowano w Łodzi". Nieco dalej dowiadujemy się, że i w tym roku były „prace reprezentujące wysoki ogólnopolski poziom". Dowiedzieliśmy się więc, że wystawy i konkursy wykańczają artystów i tylko nieliczni wyszli obronną ręką. Przy pomina to co prawda spadek formy u sportowców, wskutek przetrenowania, ale nawet najdziksza paralela nie jest mnie w stanie zadziwić. Niektórzy zostali pogłaskani zgodnie ze starą zasadą gry, rezerwującej na wypadek zbyt jaskrawej pomyłki, bufor bezpieczeństwa. Rzecz w tym że Anonim prawdopodobnie nie widział zbyt wielu wystaw w swym życiu, albo je oglądając nic nie zrozumiał. Tak się składa, że opinia środowiska artystycznego (bardzo czuła na chałę) oraz ludzi piszących o sztuce nie z przypadku, była nieco odmiennego zdania. Osobiście jestem po stronie fachowości i zdawkowa niczym nie udokumentowana opinia o niskim poziomie tegorocznej wystawy okręgowej, winna być traktowana jak na to zasługuje — niepoważnie. „Najkorzystniej n i e w ą t p l i w i e (podkr. moje) reprezentowana była twórczość graficzna" — pisze Anonim upewniając o swej niekompetencji, gdyż nawet artyści eksponujący swoje grafiki nie byli nazbyt zachwyceni zestawem (trudno o sąd bardziej obiektywny).

***

Nie leży w moim interesie przekora i udowodnienie Anonimowi, że wystawa była wspaniała. Nie. Lecz na pewno nie była gorsza od poprzednich, a może nawet lepsza. Pragnę jeszcze dodać, że świadomość wadliwie założonych drzwi w galerii nie jest powodem do oceny prac znajdujących się w jej wnętrzu. Nie od rzeczy będzie jeśli na zakończenie stwierdzę fakt ukazania się anonimowego artykułu równo miesiąc po zamknięciu wystawy. Widocznie wystawy trwają zbyt krótko, aby jedyne pismo kulturalno-społeczne Łodzi zdążyło na czas z informacją, anonimem, czy też krytyką artystyczną. Ta sprawa wymagałaby zresztą zupełnie osobnego omówienia (gdyby „Odgłosy" rozpisały ankietę w licznym środowisku łódzkich plastyków zdziwiłyby się z pewnością wielu gorzkim słowom związanym z informacją o wystawach i tempem jej podania do wiadomości ogółu).

Artykuł, z którym tak uparcie pole mizuję, przyjął za leitmotiv obronę interesów szerokiej publiczności. Ale czyż ta publiczność ma jakąkolwiek szansę skonfrontowania opinii recenzenta ze stanem faktycznym, a więc wystawą? Powiedzenie o musztardzie po obiedzie przecież znamy, dlatego też należałoby baczyć, aby retoryczne pytanie tkwiące w tytule artykułu „Komu mają służyć wystawy" prawem rykoszetu nie odmieniło się na nieretoryczne — komu mają służyć krytycy?

ANDRZEJ SZONERT
Komisarz wystawy

WŁODZIMIERZ MENTCEL „...A gdyby tak?"

Półka z książkami

KSIĄŻKA O TEATRZE J. GROTOWSKIEGO

W ostatnim numerze (z maja br.) miesięcznika „Theater heute" opublikowano na całej kolumnie zapowiedź druku książki pt. „Biedny teatr Jerzego Grotowskiego", która ma się ukazać jesienią br. w wydawnictwie Friedrich. W anonsie tym czytamy: „Teatr na całym świecie podlega procesom przeobrażeniowym. Młodzi aktorzy i reżyserzy w Ameryce, Francji, we Włoszech i w Anglii rozpoczęli rozwijać teatr „nowych doświadczeń" według metody Grotowskiego. Polak Grotowski, wspólnie z Brechtem i Artaud'em należą do trzech najważniejszych inspiratorów nowoczesnego teatru wieku XX. Jego metoda żąda nowej praktyki w zakresie sztuki aktorskiej. Czas, aby i niemiecki teatr zdał sobie z tego sprawę (...) Jest to książka dla wszystkich, którzy pragną żywego, nowego i zarazem elementarnego teatru".

Cytuje się także opinię P. Brooka, który powiedział: „Grotowski jest niepowtarzalny, jedyny w swoim rodzaju — Dlaczego? Dlatego, że nikt, moim zdaniem, od czasu Stanisławskiego nie zbadał tak głęboko i wyczerpująco procesu gry jak Grotowski". Książka ta, która będzie kosztować ok. 20 marek, ma zawierać wyczerpujące protokóły z prób i analizę metody pracy z aktorami, artykuły Grotowskiego i o nim, wywiady i bogaty materiał ilustracyjny.

S. K.

ANDRZEJ BISKUPSKI

Poezja prostych prawd psychologicznych

W czasach, kiedy powszechnie uprawia się poezję na najwyższych pułapach ogólności, w czasach, kiedy za najważniejszą sprawę poezji uważa się czynność cyzelowania formy wypowiedzi i dążność do czystej krystalizacji tkanki wiersza; a zatem w czasach, kiedy obserwuje się wprost patologiczny przerost formy nad treścią — już sama tylko dążność do bezpośredniości i prostoty wypowiedzi lirycznej musi być obwołana zwycięstwem. Myślę, że tomik „Są ścieżki cieniutkie" * można śmiało zaliczyć do tego jeszcze mało zauważalnego nurtu w młodej poezji, który zaczyna krystalizować się jako przeciwstawny biegun „poezji — komplikującej — dla — samego — komplikowania".

Sposób podawania treści poetyckich, jaki proponuje H. Sobczak - Jarmołowska, określiłbym mianem pamiętnika albo dziennika lirycznego, w którym zapisuje się spostrzeżenia codzienne, zdawałoby się, że nawet banalne, a przecież podawane w formie niekiedy bardzo dramatycznej — jak choćby w wierszu pt. „Zazdrość":

wybiega znienacka zza węgła
wielki rudy pies
rośnie
już jest przy mnie

a gdy
to nie jest wieczorna godzina
kapitulacji
znika równie szybko
by zatoczywszy błędne kręgi
zaskowyczeć między oczy

i teraz to już też jestem
wielki rudy pies
i ślepie mam jak filiżanki
dopiero świt nałoży kaganiec
na ten skowyt

To jest przede wszystkim cenne w tej poezji, że autorka potrafi zwrócić uwagę na podskórne tętno dramatyzmu w zwykłej, szarej i normalnej codzienności; dramatyzmu pojawiającego się przy okazjach najzwyklejszych wydarzeń — kiedy nawet brak przychylnego, ciepłego spojrzenia ze strony innych ludzi wyzwala nasz zwykły ludzki niepokój:

gdy patrzysz na mnie
(...)
wejdę nawet po schodach
których nie ma
(...)
ale gdy odwrócisz oczy
wszyscy zaczną się krzywo uśmiechać
jakby widzieli że zamiatam
suchą nogą

Jest to poezja nadwrażliwości psychicznej, toteż nic dziwnego, że nawet pogodny spokój i opanowanie — tak wielce cenione przez nas wszystkich na co dzień u siebie i u innych — może stać się przedmiotem podejrzenia i niepokoju:

dławię się uśmiechem
i spokojem
codziennych twoich rąk

— niepokoju, przeradzającego się w obsesję oczekiwania na najgorsze:

niewolnica
przywiązana białym sznurem
do stołka
czekam na cokolwiek
na trzęsienie ziemi
na twój głos po sznurze

Jednakże owa nadwrażliwość nie jest przewrażliwieniem wyspekulowanym — ma swoją bezpośrednią przyczynę w obojętności otoczenia jako takiego, które choćby poprzez działanie mechanizmu konwencjonalności zachowań zmusza do nieszczerości, a często i do zakłamania, obezwładniającego całą osobowość:

już nawet nie mogę
mówić oczami
najlepsze myśli
w gardło mi wpychasz
(...)
ogłupiam się wytrwale
mam w zapasie
puste złe słowa
(...)
chciałabym raz zwyczajnie
popłakać
(...)
uśmiecham się z przyzwyczajenia

W tej poezji nie ma miejsca na żaden optymizm; nawet pobrzmiewające optymizmem zakończenie powyższego wiersza, jest ironiczne. Sam zaś wydźwięk pesymistyczny omawianego tomiku jest swoiście spotęgowany poprzez chwyt, który autorka stosuje w większości wierszy, a który polega na tym, że kwestie są wypowiadane jakby we własnym imieniu (w imieniu podmiotu lirycznego), jednakże zawsze w odniesieniu do adresata określanego zwrotem „ty". Tu chciałbym przestrzec czytelników, by owego przeciwstawienia nie sprowadzali do najprostszego w tym wypadku rozwiązania, a więc do sytuacji „on — ona" i do napięć dramatycznych rozwijających się wokół takiego to zbanalizowanego ujęcia. Ów chwyt zastosowany przez autorkę stanowi jedynie subiektywną konkretyzację dla obiektywnych i ogólniejszych odzwierciedleń związków międzyludzkich w ogóle; a jest on tu stosowany z zamiarem, by uzyskać tym sugestywniejsze efekty natury psychologicznej, co zresztą autorce udało się w zupełności. Bo najogólniej mówiąc, jest to poezja prostych prawd psychologicznych, a mimo to prawd odkrywczych — jeśli tylko potrafimy odnieść je także i do własnej sytuacji, i do sytuacji wielu innych ludzi. I w tym sensie można by powiedzieć, że nie jest to tylko poezja prawd psychologicznych w rozumieniu subiektywno - prywatnym, ale także poezja prawdy psychologicznej w rozumieniu intersubiektywnym, niejako publicznym, pozajednostkowym.

* **Halina Sobczak - Jarmołowska: Są ścieżki cieniutkie. Wydawnictwo Łódzkie 1969; str. 31 + 1 nlb.**

RYSZARD BINKOWSKI

Wielka ropa nad Wisłoką

Zły duch mieszkał w lesie pod Bóbrką. A z gęby ział czadem jakowymś. Pastuch tam zasnął. Na śmierć. A pod krzaczkami stały kałuże. Z grząskiego piasku wyłaziła kipiączka. Znaczy olej skalny. Tego oleju szukał wysoki, postawny aptekarz. Nazywał się Ignacy Łukasiewicz. A kiedy go znalazł, to wyciągał z niego naftę. I tak w lipcu 1853 r. na sali szpitalnej we Lwowie zapłonęła pierwsza lampa naftowa. Dwa lata przed Sillemanem. W rok później w Bóbrce koło Krosna Łukasiewicz zbudował pierwszą w świecie kopalnię. A za kopalnią rodzi się rafineria — destylatornia. Ruszają Ulaszowice, Polanka, Charkówka. I są to narodziny przemysłu naftowego.

W roku 1888 holenderska spółka akcyjna Gartenberg i Schreier osiedla się o 3 km na południe od Jasła. We wsi Niegłowice. Ta spółka buduje tu rafinerię. Prymitywny zakład. Trawią go pożary, niszczy I wojna światowa. W latach 1925—35 zakład staje się najnowocześniejszym w ówczesnej Polsce. Roczna produkcja wynosi 70 tys. ton. Potem jest kryzys, strajki. Brak surowca. Wreszcie w 1939 r. rafineria niegłowicka ruszyła pełną parą. Dla potrzeb armii spod znaku swastyki, czarnego krzyża.

Marian Lubaś jest dziś sekretarzem ekonomicznym do spraw KSR. Wtedy był uczniem w rafinerii. Opowiada, że w lipcu 1944 r. o wyznaczonej godzinie wyszedł rozkaz o demontażu. Musiał go wydać wiedeńczyk Graser. I wywieziono halę maszyn, urządzenia destylacji wieżowo-próżniowej, rurociągi. Pozostały zabetonowane śruby w fundamentach. Straszyły martwotą nagie mury i dachy. Ludzi wieziono do Limanowej, do Niemiec.

Robotnicy, starzy towarzysze strajkowi, wśród nich Myśliwiec, chowali część urządzeń w kanałach.

17 stycznia 1945 r. Kurz, dym. Rozedrgana łuna nad Jasłem. Z tego dymu, kurzu, ognia wyjechali Rosjanie. I Niegłowice były wolne. Już nazajutrz działa czternastoosobowy oddział milicji robotniczej. Wśród milicjantów Ogoński, Bronek Myśliwiec. I dzisiejszy sekretarz PZPR Szymon Bajorek. Wyciągają ukryte urządzenia. Dzięki temu rusza elektrownia. Jedna maszyna o dwu cylindrach. I stacja wodna. Nikt nie czeka na zapłatę. Ludzie szukają. Przy pomocy Rosjan wiele urządzeń znajdują w Limanowej, Nysie, Essen. A jest pierwsze zarządzenie, że ten zakład nigdy nie ruszy. Potem zmiana. Podpisy Władysława Gomułki, Józefa Cyrankiewicza. Do dziś przechowują ten dokument. I zakład ruszył, 28. IX. 1946 r. Produkował 4.155 ton. Pracowników tylko 266. Ale rósł, rozbudowywał się. To już historia ludowego ćwierćwiecza.

Do Niegłowic pędzą autobusy, pociągi. Wyrzucają ze swych wnętrz setki ludzi. Rafineria zsynchronizowała rozpoczęcie godzin pracy z rozkładem jazdy. Wszak dojeżdżają tu ludzie z odległości 20 km. Nawet z Krośnieńskiego. Dojazd ułatwiają dwa autokary zakładowe. Trzy razy dziennie płynie ludzki potok. Do rafinerii. I trzy razy odpływa.

A na północy Wisłoka, od południa zaś rzeka Ropa. Nad brzegami łapaczki, oczyszczalnia ścieków. Ziemia wokół przesypana piaskiem, żwirem. W nich sączki. Ciągną te przecieki. By nie zabijać rzek.

Obszar 80 ha porżnięty wężowiskami torów. Trzy własne parowozy przeciągają po nich cysterny wielkości domku jednorodzinnego. Bo już nie ciągnie się ropy z Osobnicy, Folusza. Przybywa w pojemnikach z dalekiego Kraju Rad. Magazynuje się ją w zbiornikach. To takie okrągłe, jednopiętrowe domy. A ta pompa z wielgachnym kołem zamachowym wywędrowała do muzeum.

O ogromie terytorium zakładu świadczy fakt, że dla pracowników terenowych przeznaczono 35 rowerów służbowych. Jakże obejść ten ogromny zakład? To prawie pięć kilometrów w obwodzie. Przeto obchodzę z tow. Bajorkiem tylko serce rafinerii. Pośrodku w obramowaniu podtrzymującego szkieletu rusztowań surowcowy spichlerz wszystkich instalacji. Cały w srebrze, słońcu sierpniowym. Jak rakieta Armstronga. To dwustopniowa destylacja rurowo-wieżowa. Uruchomiona w 1955 r. Własna konstrukcja i instalacja. Potencjalność produkcji ponad 120.000 ton rocznie. Gdzieś od południa będący w ruchu od 1956 r. oddział oksydacji asfaltu. Corocznie na polskie i niepolskie drogi z kotłów spływa 30 tys. ton asfaltu. A w samym sercu niegłowickiej rafinerii kilkupiętrowy gmach elektrociepłowni. Turbozespół „Lang" i agregaty awaryjne „Deutz" nie zaspokajały potrzeb energetycznych. Elektrociepłownia przekazuje dziś nadwyżki energii do sieci państwowej. Hałdy węgla. W niebie suwnica. Stożkowaty kocioł napełnia serca rafinerii. Obok wielka, przysadzista, drewniana chłodnia. Ta kolosalna kolumna wyklucza przebranie limitu wody z Wisłoki. Dzięki niej woda krąży w ciągłym obiegu po rafinerii.

Bardziej na lewo zimne prasy. Przechodzący na filtry olej zostawia na płótnie osady. Taką salę zimnych i gorących pras obsługuje w zasadzie jeden człowiek. Krąży nad tymi setkami kranów. Zarabia ponad 2 tysiące. Tak kształtuje się średnia płaca pracownika fizycznego w nafcie. Technik, starszy mistrz, inżynier otrzymuje od 3000 do 5000 tysięcy. I to jest ten silny zastrzyk finansowy. Bo Podkarpacie żyło i żyje z nafty. Nie ma kłopotu z chłopo-robotnikami. A jest ich około 50 proc. Gospodarstwa tu małe, w dziesięciu kawałkach, drobniutkich. Posiadacz 4 ha jest wsiowym wielmożą. To dygresja. A wracając do produkcji: z pras, z całego procesu technologicznego, leje się parafina w postaci czystej wody. Ścina się. Obok leżą gotowe płytki. Kobieta w kapeluszu. Rondo zakrywa połowę pleców. Ta kobieta cała w stężałej parafinie. Nielekka praca. Ale popłatna. A zawód dziedziczny. Ludzie są tu dumni ze swej profesji. Kiedy zwracają się z prośbą o przyjęcie, mówią, że ojciec, dziadek, stryjek tu pracował.

Zakład rośnie. Wraz z nim rosną ludzie. Tu wyrósł, zdobył dyplom inżyniera Wiktor Czaja. Chłopak z Sanoka. W roku 1940 chwytał za kolana wracającego z wojny ojca, który był trzykrotnie ranny. Niemcy go zabrali. Uciekł w drodze do gestapo. I tak Wiktor został od 1947 półsierotą. Skończył podstawówkę w 1945 r. Poszedł do ogólniaka. I wtedy zrozumiał, że ten nic nie daje. Pojechał do Gdańska, gdzie skończył w 1952 r. Technikum Budowy Maszyn. Nakaz pracy i służba w marynarce do 1955 r. W wojsku zdobył zawód motorzysty. Otwierały się przed nim piękne perspektywy. Ale nostalgia gryzła. Przeto wrócił do Niegłowic. Do rodziny, do rafinerii. Rozpoczął od pracy fizycznej. Był po kolei motorzystą, technikiem do spraw gospodarczych, kierownikiem magazynu technicznego, starszym technikiem do spraw dozoru technicznego, kierownikiem warsztatu. Jako pracownik fizyczny pracował na podmianach. W hali maszyn, obsłudze sprężarek, stacji wodnej, stacji pomp, dekarbonizacji, kotłowni. Jak nikt poznał ten zakład. A w międzyczasie podjął decyzję o kontynuowaniu nauki. Zaocznie. Obrał kierunek mechaniczny na Politechnice w Krakowie. Dlaczego? No, nie dla forsy. Wszak dobrze zarabiał. Miał dużo wolnego czasu. I chciał być dobrym pracownikiem. Wykwalifikowanym. Bo zakład rósł. Przestawiał się na chemizację. Kiedy zmarł ojciec, Wiktor Czaja załamał się. Potem przyszło na świat dwoje dzieci. Ani kina, teatru, potańcu w „Jasielskiej", czy „Szarotce". Ale był uparty. Kontynuował studia. Nie zrażał się stratami finansowymi. Zakład pomagał. We wszystkim, co było w jego kompetencji. Co czuł trzymając dyplom w ręce? Wielkie zmęczenie. Za to żona odetchnęła. A w pracy jedni gratulowali, drudzy przechodzili obojętnie. Czaja zmienił drelich na białą koszulę i elanowe spodnie. Duszy nie zmienił. Przeto podwładni lubią go i szanują. Jego Warsztaty Mechaniczne są „spichlerzem" wynalazków. Było ich ponad 200. Modernizacja zakładu wymaga wysokich kwalifikacji. Kuźnią postępu w niegłowickiej rafinerii stało się Zakładowe Laboratorium Badawcze. W 1965 r. pracowano tu nad parafiną bezwonną. Podczas reakcji stałej parafiny z mieszaniną kwasu azotowego i siarkowego nieoczekiwanie mgr inż. M. Nowak, Janas i Korczykowski uzyskali produkt plastyczny, rozpuszczający się w produktach naftowych. Nowy dodatek „Paramit" ma własności uszlachetniające, antyutleniające, antykorozyjne. Zmniejszy się jego import z krajów kapitalistycznych.

Rafineria eksportuje olej opałowy, asfalt i parafinę. Jest przeto poważnym zakładem przysparzającym krajowi cennych dewiz. A kiedy w br. ruszy oddział acoraxu, eksport zwiększy się, zmaleje import. Cena tego produktu wynosi bowiem 326 dolarów za tonę. W tym roku ruszy także pierwszy oddział Wytwórni Sadzy. Czeka na nią Dębica, Olsztyn. Już sterczą w niebo potężne węzły reaktorów, konstrukcje nośne, zbiorniki nadtorowe, kotły — utylizatory. Okolica nie będzie zagrożona. Produkt popłynie rurami do zbiorników, a stąd wprost do hermetycznych wagonów. Tak zredukuje się nadmiar wolnych rąk do pracy w Jaśle i okolicy. Na koniec br. zatrudnienie wyniesie 1125 pracowników.

Modernizacja, finalizacja produkcji i chemizacja wymagają wysokich kwalifikacji załogi. Przeto w niegłowickiej rafinerii pracuje 50 ludzi na tzw. postępie technicznym. Z wyższym wykształceniem jest 70 osób. Techników 200, po szkołach zawodowych 400. Istnieje zamiar kursowego przeszkolenia wszystkich pracowników. Nadto w szkole przyzakładowej uczy się 60 uczniów. I tylko ci najlepsi otrzymują pracę w Niegłowicach. A więc wysokie wymagania.

Rafineria pod Jasłem jest chyba drugim co do wielkości zakładem w tej branży po Płocku. Dzięki ofiarności i wysokim kwalifikacjom załoga w 1967 r. odebrała Mazowieckim Zakładom Rafineryjnym i Petrochemicznym sztandar przechodni.

Ta rafineria oprócz pracy dała wiele innych korzyści ludności z Jasła i powiatu. Szerzy sport, kąciki zainteresowań. Zespół artystyczny sławił folklor jasielski nad Sekwaną. Pracownicy otrzymują fundusze na budownictwo, nieodpłatne pożyczki na mieszkania. Ich dzieci korzystają z wczasów w Krempnej, z pomocy w nauce, od profesorów opłacanych przez zakład. Powstała szkoła, przedszkole, osiedle z 400 mieszkaniami. Wraz z rozwojem zakładu to osiedle będzie rosnąc.

***

Łukasiewicz stał kiedyś pod krzaczkiem, spod którego sączyło się z ziemi małe źródełko. Rozlewało się w kałużę. Na jej powierzchni pływały tłuste oka oleju. Stary farmaceuta nie wiedział, że jego dociekliwość badawcza daje podstawy jednej z najpotężniejszych gałęzi przemysłu w Polsce. I nie wiedział też, że po stu przeszło latach, spokojna wieś Niegłowice stanie się dzielnicą miasta Jasła.

Zewsząd o wszystkim

KULISY PROGRAMU

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE" — PARYŻ

Był słoneczny majowy dzień 1961 r. John Fitzgerald Kennedy przybył do Kapitolu, aby poinformować Kongres o najpilniejszych sprawach kraju. W przeddzień w Missisipi zostało aresztowanych 27 uczestników „marszu pokoju". Wiceprezydent Lyndon Johnson powrócił właśnie z 29 tys. kilometrowej podróży po Azji, podczas której zapewniał, że Stany Zjednoczone nie mają zamiaru posyłania tam swoich wojsk...

Przemówienie Kennedy'ego, które było swego rodzaju orędziem „o stanie państwa" trwało 48 minut. Jak się powszechnie spodziewano 9/10 wystąpienia poświęcił prezydent „zimnej wojnie". ale było i coś czego nikt nie oczekiwał: „...Uważam — powiedział on — że kraj nasz, jeszcze przed upływem 10 lat powinien dopiąć celu, jakim będzie wylądowanie człowieka na Księżycu i jego bezpieczny powrót na Ziemię".

John F. Kennedy przebywał w Białym Domu wszystkiego 126 dni, kiedy postawił Kongres i kraj przed alternatywą wydania od 20 do 40 miliardów dolarów na realizację programu, który miał niewiele szans na wyprzedzenie radzieckich osiągnięć kosmicznych.

Decyzja nie była przypadkowa, a projekt dojrzewał od 1948 r. Wówczas to Amerykanie nauczyli się robić głowice atomowe niewielkich rozmiarów, które można było umieszczać na międzykontynentalnych rakietach balistycznych o zmniejszonej wielkości. Związek Radziecki produkował dla swoich rakiet silniki znacznie większe, dzięki którym mógł powstać pierwszy sputnik. Sputnik stał się istną rewolucją w sądach o Rosji. Z rolniczego giganta, na oczach całego świata kraj ten przemienił się w przemysłowego kolosa.

Perspektywy Amerykanów w kosmosie trudno było nazwać pomyślnymi. Prezydent Eisenhower nie był entuzjastą lotów kosmicznych z człowiekiem na pokładzie. Pod koniec sprawowania swego urzędu ogłosił moratorium dla lotów kosmicznych z człowiekiem na pokładzie. Tylko ostry protest ze strony Krajowej Agencji Przestrzeni Kosmicznej i Aeronautyki skłonił go do zmiany decyzji.

Również doradcy prezydenta w dziedzinie nauki zdecydowanie występowali przeciwko wysłaniu człowieka na Księżyc. Obliczali, że będzie to kosztować Amerykę od 34 do 46 miliardów dolarów i zajmie nie mniej niż 15 lat. Podobne argumenty wysuwali później doradcy prezydenta Kennedy'ego.

12 kwietnia 1961 r. Jurij Gagarin odbył pierwszy lot po orbicie wokół naszej planety. W świecie wywarło to takie samo wrażenie, jak pierwszy sputnik. Korespondent Agencji Associated Press w Moskwie swoje doniesienia w tym dniu zaczął słowami: „Lot radzieckiego kosmonauty po orbicie wokół Ziemi z szybkością 5 mil na sekundę utorował dzisiaj ludzkości drogę w Kosmos. Związek Radziecki, jak dawniej, pozostawia Zachód na pozycji doganiającego. Ten wyczyn Zw. Radzieckiego zyskał mu uznanie uczonych na całym świecie, w tym także i ekspertów w Stanach Zjednoczonych".

Jeszcze tego samego popołudnia prezydent Kennedy zwołał konferencję prasową. Pytanie nr 15 brzmiało: Panie prezydencie, jeden z członków Kongresu, oświadczył dzisiaj, że nie może już patrzeć spokojnie na dysproporcje w dziedzinie badań kosmicznych między Ameryką i Rosją. Uważam, że reprezentował on pogląd wielu z nas..."

Prezydent odpowiedział:

„... Jeśli ktoś nie może na to patrzeć spokojnie to przede wszystkim ja. Potrzebujemy jednak czasu... Mam nadzieję, że zajmiemy się takimi dziedzinami kosmonautyki, w których będziemy mogli przodować. Teraz, przyznaję, pozostajemy w tyle".

Po upływie dwóch dni, prezydent wezwał swoich głównych doradców, aby przedyskutować problemy związane z lotem Gagarina. Obecny na tym spotkaniu przedstawiciel czasopisma „Life" pisał potem: „Eksperci jeden po drugim przedstawiali swoje opinie. Zarysował się mglisty obraz długich lat i miliardów dolarów, które dzieliły USA od osiągnięć ZSRR w Kosmosie. Kennedy siedział posępny i raz po raz, to jedną ręką, to drugą nerwowo mierzwił włosy. Możemy ich w ogóle nie dogonić — powiedział w pewnej chwili. Czy jest jakaś dziedzina, w której moglibyśmy się z nimi zrównać? Co możemy zrobić? Czy możemy pierwsi polecieć wokół Księżyca? Czy możemy pierwsi wysłać na Księżyc człowieka? Doradcy zostali zasypani pytaniami. W podsumowaniu Kennedy powiedział: — jeśli jest ktoś, kto może powiedzieć jak możemy dogonić Rosjan, dajcie go. Jest mi wszystko jedno, kto to będzie, może to być zwykły technik, byleby wiedział jak".

Potem, 17 kwietnia, miały miejsce wypadki w Zatoce

PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ

Myśliciel chorwacki Juraj Kryżanić jest autorem charakterystyki naszego kraju, spisanej w początku drugiej połowy XVII stulecia. Polska —

„To nowa Babilonia,
Cyganów, Niemców,
Ormian i Szkotów kolonia,
Raj dla Żydów,
Piekło dla chłopów,
Kopalnia złota dla przybyszów, ..."

Tak to w satyrze minionych wieków odbiło się powszechne wówczas przekonanie, że **nasz kraj jest państwem religijnej i narodowościowej tolerancji**, ziemią, w której każdy prześladowany może znaleźć schronienie. Przekonanie to nie było — jak wiemy — bezpodstawne, a tolerancja polska bardziej rozsławiła nasz kraj w świecie, niż niejeden wielki akt polityczny czy wygrana wojna. „Do dziś dnia — pisze współczesny historyk polski — w obcych syntezach tego zagadnienia „polskiemu fenomenowi" poświęcone są specjalne rozdziały przedstawiające, choćby pod tytułem **Polska azylem heretyków** (jak to ostatnio uczynił francuski badacz, Joseph Lecler, w **Historii tolerancji w wieku reformacji**), nasze osiągnięcia na tym polu".

Niechybnie dobrze się stało, że właśnie ów centralny problem naszej przeszłości stał się przedmiotem zainteresowania wybitnego uczonego, badacza dziejów Reformacji i Renesansu, **Janusza Tazbira**. Książka jego opatrzona wymownym tytułem **„Państwo bez stosów"** (podtytuł: **Szkice z dziejów tolerancji w Polsce XVI i XVII w.***) zaleca się nie tylko gruntownością i szerokością przedstawienia problemu, ale również doskonałą formą wykładu.

Nie tak dawny to czas, kiedy na łamach czasopism i kartach książek różni autorzy prześcigali się w dowodzeniu, jak ciemny jest ten nasz wiek XVII, a częściowo i XVIII, jak w dobie kontrreformacji za impulsem Kościoła i przyklaskiem szlachty ogarnął nasz kraj fanatyzm, ciemnota i religijna nietolerancja.

Janusz Tazbir nie hołduje ani tezie pesymistycznej, ani przesadnie optymistycznej. Nie sądzi pochopnie — najpierw stara się zrozumieć. Wyjaśnia fenomen polskiej tolerancji w kategoriach szeroko pojmowanej historii społecznej. „Losy polskiej tolerancji spoczywały przede wszystkim w rękach szlachty. (...) Szlachta, jeśli już we wnętrz kraju wyciągała szable z pochew, to jedynie dla obrony własnych interesów stanowych wobec króla (wojna kokosza, rokosz Zebrzydowskiego) czy przeciwko chłopami (tłumienie powstań na Ukrainie). Żadne inne względy, a wśród nich i religijne, nie mogły jej skłonić do wojen domowych. Pod tym względem nie chciała się podporządkować ani teologom, ani też królowi. W pierwszym bowiem wypadku doprowadziliby oni szybko do wygnania swoich przeciwników wyznaniowych; w XVI wieku żaden kościół panujący nie był tolerancyjny". Reformacja była u nas narzędziem dla szlachty w walce o cele polityczne — sprawy wyznaniowe pozostawały na drugim planie. „Tolerancja — podkreśla J. Tazbir — nie uratowała (bo i nie mogła) polskiej reformacji od upadku; ocaliła ona natomiast Rzeczpospolitą od krwawych walk wyznaniowych i sprawiła, iż upadek ten dokonywał się powoli i nie znaczyły go pochodnie płonących stosów". Nawet w okresie kontrreformacji opanowane przez nią społeczeństwo szlacheckie choć było za wygnaniem arian — „nigdy by jednak nie przystało na krwawe wobec swych herbowych współbraci represje".

Trudno się nie zgodzić ze słowami autora, że owa sfera istość Polski, o której tak często się mówi „przejawiła się w pewnej dysharmonii, jaką często obserwujemy w kwitnięciu w naszym kraju zgody religijnej w momencie wstrząsających Europą walk na tym tle oraz przejawiania się fanatyzmu w okresie rozpoczynającego się na Zachodzie Oświecenia. Swym „letnim" stosunkiem do kwestii wyznaniowych wyprzedziliśmy w XVI wieku o dobre sto lat inne państwa. (...) Przez swoje „gorące podejście do obrony spraw wiary pozostaliśmy w pierwszej połowie XVIII wieku w tyle za ogólnym biegiem wydarzeń„ a nieszczęsna sprawa toruńska 1724 r., zręcznie rozdmuchana przez wrogą nam propagandę, miała na długo przyćmić w Europie sławę szesnastowiecznego „azylu heretyków". Bowiem nawet encyklopedyści — konkluduje autor — spoglądali na nasz kraj przez pryzmat arian, zmuszonych do opuszczenia ojczyzny, a nie tych wszystkich, których ta niewiele wcześniej przygarnęła.

JAN GRZELAK

*) Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1967, stron 299.

„Jedziemy autostopem..."

MIROSŁAW KUŹNIAK

12 lat istnienia autostopu. Po raz dwunasty otworzyły się szosy, drogi i dróżki dla amatorów przygody.

Na początek kilka uwag. Nie jesteśmy nowicjuszami. W ubiegłym roku przeszliśmy ostrą zaprawę autostopową, podróżując w ten sposób po Węgrzech. Zaprawa była tym bardziej solidna, że na Węgrzech autostop jest zabroniony. Podobno zbyt wielki kłopot z rozwydrzoną młodzieżą.

Dowiedzieliśmy się o tym dopiero po wyjściu z pociągu Koluszki — Budapeszt via Praha. Obładowani plecakami smętnie patrzyliśmy w najbliższą przyszłość. Jednak okazało się, że powiedzenie „Polak — Węgier dwa bratanki" nie jest obce naszym „krewniakom". Tak więc dzięki polskiej fladze, życzliwości kierowców i pobłażliwości węgierskich milicjantów zdołaliśmy objechać autostopem cały kraj.

***

Na razie jedziemy tramwajem za miasto. Wczesny ranek. O tej porze wyjeżdżają samochody ze swoich baz. Za godzinę, dwie, ruszą kierowcy prywatnych samochodów. Zwiększą się nasze szanse.

Siedzimy w rowie. Plecaki przy nodze. Machamy. Doświadczeni autostopowicze wyróżniają kilka sposobów „machania": zwykłe, gniewne, proszące, uniżone oraz na „łebka" (otwartą dłonią bez książeczki, ale za... złotówki).

Zaczynamy od machania zwykłego. Po godzinie zmieniamy technikę. Najpierw prosząco, potem pokornie, a po trzech godzinach daremnego wyczekiwania na litościwego kierowcę, gniewnie. W czwartej godzinie załamujemy się i robimy przerwę.

Doświadczeni autostopowicze twierdzą, że najskuteczniejszą metodą jest zatrzymywanie „na łebka". O słuszności tego przekonaliśmy się, kiedy to w piątej godzinie czekania zabiera nas na „łebka" „star" pędzący do Piotrkowa. Rozpiera nas radość. Piotrków mijamy w pędzie. Zatrzymujemy się już za rogatkami. Za głupie dziesięć złotych zajechaliśmy stosunkowo daleko. Rozbijamy namiot na łące.

***

Od rana siedzimy w rowie. Zauważamy, że nasz widok bynajmniej nie zachwyca kierowców. Próbują nam to okazać w rozmaity sposób. Palcami na przedniej szybie samochodu, „dowcipnym słowem", czy równie dowcipnym zatrzymywaniem się i gwałtownym zrywem do przodu sprzed naszych rozradowanych postaci, które już, już siedziały w samochodzie.

***

Stanowczo za bardzo przyzwyczailiśmy się do tej łąki za Piotrkowem. Czeka nas tu druga noc. Trzeci dzień okazuje się najszczęśliwszy. Łapiemy samochód jadący aż do Kielc. Trochę zbaczamy z trasy, ale autostop to jazda w nieznane. Jedziemy tzw. „brudasem", czyli ciężarówką. Nasz „star" specjalizuje się w przewozie cementu. Razem z nami jedzie całe międzynarodowe towarzystwo. Młoda para szwedzka, która wybrała się do Polski na swój miesiąc miodowy (tak, tak do Polski), młody berlińczyk — student chemii tamtejszej politechniki i dwóch niezwykle sympatycznych Węgrów. W sumie siedmiu autostopowiczów, jeśli nie liczyć drugiej tyle „łebków". Za jakimś miasteczkiem zatrzymuje nas „lotna". — Panowie „łebki" wysiadać! Reszta pokazuje dokumenty, książeczki autostopu. Kierowca płaci 100 złotych mandatu (to za zabranie „łebków" i jedziemy dalej.

Wysiadamy przy jednej z głównych ulic Kielc. Wyglądamy, pożal się Boże, przynajmniej jak pomocnicy młynarza. Szybkie otrzepywanie ubrań (z miernym jednak skutkiem) i wspólnie wędrujemy za miasto. Tylko Szwedzi szukają hotelu w centrum. Powodzenia!

Za miastem rozbijamy namiot. Krótka utarczka z rolnikiem, na którego gruntach się rozbiliśmy. Decyduje 20 zł.

***

Kielce nas nie zachwyciły. Miasto dopiero się rozbudowuje, Szczególnie jednak przygnębiające wrażenie zrobił na nas dworzec. Mały i brudny. Łódzkie w porównaniu z nim to luksus. Dworzec kielecki zwiedziliśmy zupełnie przypadkowo. Oto po dwóch dniach daremnego czekania na szosie zdecydowaliśmy się skorzystać z usług PKP. Przeszło 30 km do Jędrzejowa kolejką, a dalej autostopem. Dalej tzn. do Krakowa, który obraliśmy punktem docelowym.

Jeszcze raz potwierdza się niewątpliwa przewaga kolejowego wagonu nad przejeżdżającym w tumanie pyłu samochodem. Szczególnie na wycieczce autostopowej!

***

I oto Jędrzejów. Stąd jeszcze sporo do Krakowa. „Stopujemy" samochody. Trwa to zdecydowanie za długo. Korzystamy więc z życzliwości przejeżdżającego woźnicy i ładujemy się na wóz. Koni o wiele mniej aniżeli w samochodzie, ale frada większa. Powoli mijamy pola pachnące chlebem, łąki w wielkiej powodzi słońca. Czas na refleksję i odpoczynek.

***

Koniec przyjemności. Znowu twarda rzeczywistość „machania". Już nie pokornego, ale uniżonego! Nie pomaga. Kierowcy nie lubią uniżonych, innych też nie.

Pod wieczór fortuna zaczyna nam sprzyjać. Zabiera nas do swojego samochodu (osobowy!) lekarz jadący do chorego w pobliskiej miejscowości. Sympatyczny doktor pyta o wrażenia. „Czy kierowcy chętnie biorą autostopowiczów?" Nie chcemy zapeszać. „Oczywiście" — zapewniamy zgodnym chórkiem.

***

Do Krakowa jeszcze daleko. Jesteśmy ósmy dzień w podróży. Pieniądze topnieją szybciej niż lody Bambino.

W dziewiątym dniu zabieramy się „pikapem" do Michałowic. W środku samochodu ścisk niemożliwy. „Łebki" pomieszane z autostopowiczami. Zauważamy, że kierowcy polujący na „pasażerów za złotówki" biorą niekiedy autostopowiczów. Próbują w ten sposób stworzyć „zasłonę dymną" na wypadek kontroli milicyjnej. Czasami się to udaje. Trudno przecież kierowcy rozróżnić „kto jest kto!"

Nawet niedługo czekaliśmy na następny samochód. Rozklekotany autobus PKS zabiera nas do Krakowa, oczywiście za odpowiednią opłatą.

Po trzech dniach wypełnionych gorączkową bieganiną, tak charakterystyczną dla turystów, których nagli czas i topniejące pieniądze, znaleźliśmy się ponownie na drodze.

Siedzieliśmy w rowie. Obok przelatywały samochody węgierskie, angielskie, szwedzkie, a nawet polskie. A my? Machamy, machamy, machamy.

Fot. Z. Gorzkiewicz

OGŁOSZENIE...

Eine Waffe, die Erinnerungen wachruft!! Endlich auf dem Markt!
Das Original-Wehrmachtsmodell 98 K aus dem 2. Weltkrieg

jetzt wieder lieferbar — Waffenerwerbsscheinfrei an Personen über 18 Jahren, gebraucht und wieder staatl. neu beschossen nur DM 148.—
Patronen 8x57, 10 Stück . . . . . DM 12.—
alle Preise einschl. Mehrwertsteuer.
Nachnahmeversand gegen Altersbescheinigung (Personalausweis, Reisepaß, Geburtsurkunde) Prospekte und Beschreibungen stehen nicht zur Verfügung
TROLLE, 646 Gelnhausen/Hessen, Postfach 94, Ruf 06051/24 33

„Ta broń odświeży w waszej pamięci wspomnienie przeszłości".

A więc znów w sprzedaży karabin niemieckiego Wehrmachtu z czasów II wojny światowej (model „98-K"). Może to czyjś głupi dowcip, czy też ogłoszenie jakiegoś nazisty, pragnącego pozbyć się starej, nikomu dziś niepotrzebnej broni?

Bynajmniej! Karabiny produkowane na wzór hitlerowskich proponuje znana fabryka broni. Z dalszego tekstu reklamowego, opublikowanego w gazecie „Neue Herner Handelsblatt" i przedrukowanego w tygodniku „Der Spiegel", dowiadujemy się, że karabiny działają sprawnie i mogą być wysłane każdemu mieszkańcowi Republiki Federalnej, który ukończył 18 lat i gotów jest zapłacić 148 marek. Żeby rozwiać wątpliwości, że nie jest to pamiątka z czasów wojny, firma wysyła również komplet nabojów.

Trudno powiedzieć do kogo należy idea wyposażenia obywateli NRF w karabiny Wehrmachtu. Czy do neonazistów z NPD, czy do generałów i oficerów Bundeswehry, wśród których niemało jeszcze byłych hitlerowców? Oba warianty są prawdopodobne. Pierwsi, jawnie odradzają w kraju tradycje faszystowskie, drudzy, ochoczo podają ramię pierwszym, aby pomóc im „przejść" w jesiennych wyborach do Bundestagu. Nie to jednak jest najważniejsze. Niepokoi atmosfera polityczna wewnątrz kraju, kształtowana przez Bonn, stwarzająca możliwość publikacji podobnych ogłoszeń w dzisiejszej Republice Federalnej.

Świń — nieudana ekspedycja

z zamiarem wtargnięcia na Kubę. Nie wiadomo na pewno, jaki był wpływ tego fiaska na decyzje w sprawie Księżyca, gdyż opinie są podzielone. Wiadomo jednak, że w trzy dni po nim Kennedy zaczął działać.

20 kwietnia wiceprezydent Johnson otrzymał polecenie zwiększenia wysiłków w dziedzinie współzawodnictwa z Rosją. 3 maja, tuż przed swoją dwutygodniową podróżą azjatycką i lotem Alana Sheparda na „Merkurym", wiceprezydent przeprowadza konsultację z NASA.

Lot A. Sheparda i jego 15-minutowy spacer w Kosmosie, zwiastują zmianę na lepsze. Z 6 na 7 maja odbywa się spotkanie wszystkich zainteresowanych czynników, wśród których są m. in. przedstawiciele NASA i Pentagonu. Obecny jest także minister obrony Robert McNamara.

Sens ich nigdy nieopublikowanego, wspólnego memorandum zamykał się tym, iż St. Zjednoczone będą usiłowały zrealizować plan wysłania człowieka na Księżyc. Była to jedyna dziedzina, w której, w obliczu osiągnięć radzieckich, można było liczyć na sukces. Odrzucano równocześnie zaproponowany przez McNamarę projekt wysłania ludzi na inne planety. Ustalono, że Księżyc będzie jedynym celem, który można osiągnąć w 1967 roku, ratując w ten sposób prestiż Stanów Zjednoczonych. 10 maja nastąpiło ponowne spotkanie z prezydentem, na którym wręczono mu tekst memorandum. 26 maja prezydent oświadczył w Kongresie: „... obecnie żaden inny projekt kosmiczny nie wywrze tak wielkiego wpływu na całą ludzkość, nie okaże się bardziej doniosły dla dalszych badań w Kosmosie i nie będzie tak trudny i kosztowny w realizacji. Ale w konsekwencji stworzy on warunki lądowania na Księżycu nie jednemu człowiekowi, ale wielu ludziom, jeśli oczywiście, idea ta zostanie zrealizowana. Teraz powinniśmy dać z siebie wszystko, żeby ten człowiek mógł się tam znaleźć"...

Nikt nie może powiedzieć z całą pewnością, jaki powód, czy jakie powody, skłoniły Kennedy'ego do podjęcia decyzji o osiągnięciu „dalekich rejonów Kosmosu".

Jednakże nie ulega wątpliwości, iż była to decyzja związana z planami zimnej wojny. Na przykład względy nauki odegrały w powzięciu tej decyzji bardzo małą rolę, jeśli w ogóle były brane pod uwagę, i Kennedy doskonale o tym wiedział. John Lodhson, specjalista w zakresie nauk politycznych w jednym z amerykańskich uniwersytetów twierdzi: „decyzja prezydenta oznaczała podporządkowanie środków techniki celom politycznym"...

JERZY WILMAŃSKI

„Wszystko gra, panie dzielnicowy..."

Stanisław Prokop obciąga mundur, zakłada czapkę — jest już właściwie gotów. Jeszcze tylko ruch ręki w kierunku biodra — tak jest, „tetetka" na swoim miejscu... Te same gesty powtarzane od lat przed wyjściem na służbę. Przed wyjściem w n i e w i a d o m e.

Starszy sierżant MO Stanisław Prokop — dzielnicowy w rejonie 14 nigdy nie wie jakie sprawy i konflikty wyjdą mu naprzeciw, kiedy pójdzie ulicami patrolując znany mu teren.

Codziennie od dziesięciu lat wyrusza jednak w swój uparty marsz, w służbie spokoju i bezpieczeństwa tych paru tysięcy mieszkańców rejonu 14, który powierzono jego opiece. Idzie więc Bednarską, potem Unicką do Tuszyńskiej — skręca do torów, mija ogródki działkowe, dalej do Myśliwskiej, potem do Sanockiej i znów do Dygasińskiego. Przy parku zatrzyma się — w polu widzenia znajdują się grupki młodzieńców — „urodzeni w niedzielę" — powie sierżant Prokop: — młodzieńcy piją piwo, cóż wolno każdemu pić piwo... Więc tylko krótka rozmowa, pozornie o niczym — „słuchaj Miki, kiedy się weźmiesz do jakiejś roboty", albo „Anioł, kto ci nabił takiego guza..."

I znów uparty marsz ulicami przedmieścia. Krótka rozmowa na rogu: — „Pani Kowalska czy nie za głośno tam nocami w pani mieszkaniu? Nie za dużo nocnych gości płci męskiej?" albo „Panie Malinowski, zgoda już w rodzinie? Skończ pan z tym piciem, bo to się dobrze nie skończy..."

* * *

Wiele by można statystycznie i socjologicznie wywodzić na temat roli dzielnicowego, na temat profilaktyki. Kiedy zapytałem Stanisława Prokopa o jego widzenie tych spraw powiedział mi po prostu: „Profilaktyka to znaczy nasza obecność, to fakt, że jesteśmy na miejscu, wśród ludzi, spraw i konfliktów, to fakt, że znamy ludzi i oni nas znają, to także i to, że ludzie mają do nas zaufanie... Mógłby kto pomyśleć — ciągnie Stanisław Prokop — że niepotrzebnie strzępię język przypominając różnym Czarnym, Aniołom czy Szmajom, o tym, że powinni pracować. Ale to w końcu daje efekty. Nawet jeśli ci urodzeni w niedzielę do roboty nie pójdą — nawet wtedy, bo wówczas utrzymuję ich tym ciągłym przypominaniem w słusznym przekonaniu, że się o nich pamięta, że są w orbicie zainteresowań, że reflektor skierowany jest na nich i ich dni wypełnione nieróbstwem... I wtedy niech mi pan pokaże kozaka, który w takiej sytuacji zdobędzie się na jakiś przestępczy krok. Nie ma mocnych, wiedzą, że są obserwowani. I to właśnie jest profilaktyka".

Chyba ma rację sierżant Stanisław Prokop, że to właśnie jest profilaktyka. Bo i spokój w rejonie jest teraz, rozbojów nie ma, kradzieże bardzo rzadko... A bywało przecież rozmaicie. Bandy „Burzy" i „Zorro" — kradzieże, napady na kobiety wracające z ostatniej zmiany, rabunek z wozów badylarzy jadących nocą na targ...

Dziś jest tu spokojniej — czasami jakaś rozróbka przy piwku, ale i na to znalazł się sposób... „Słuchajcie — powiedział raz sierżant Prokop do „trębaczy" — nie możecie żyć bez tego piwa, dobra, pijcie, nie ma takiego przepisu, że nie wolno — ale ma być spokój, nie tarasować chodników, nie rozrabiać, nie zaczepiać ludzi — bo pójdzie wniosek do Wydziału Handlu o zakaz sprzedaży i na piwko będziecie jeździć aż na Piotrkowską". Więc zapanował spokój.

„Wszystko gra, panie dzielnicowy" — mówią teraz do sierżanta piwosze-„trębacze", kiedy mija ich w swoim codziennym obchodzie.

Uparty codzienny marsz ulicami swojego rejonu, pozornie nieefektowna praca dzielnicowego-gospodarza, do którego idzie się ze wszystkimi sprawami „jak do księdza", któremu zawierza się rodzinne tragedie, że mąż pije, że bije, że dzieci trudno utrzymać, że się nie uczą, że nie chcą słuchać... Pozornie nieefektowna praca, której wyniki są tak trudno wymierne.

* * *

A wachlarz czynności? Wymieńmy choćby niektóre: prowadzenie spraw dochodzeniowych, wykonywanie ustaleń, wywiadów na polecenie Sądu, Prokuratury i innych jednostek MO, WSW, MON oraz administracji terenowej, zwalczanie wykroczeń przeciwko przepisom sanitarnym, porządkowym, przeciwpożarowym, drogowym, utrzymywanie porządku i spokoju w rejonie, zwalczanie i zapobieganie chuligaństwu... O każdym punkcie nie zawsze ściśle dającego się określić zespołu obowiązków dzielnicowego można by na dobrą sprawę napisać osobny artykuł.

A przecież zakres i charakter tej pracy poszerza się jeszcze w zależności od specyfiki rejonu. Trudniejsza na przykład jest praca tam gdzie przeważa nowe budownictwo, gdzie w związku z tym większy jest napływ nowych mieszkańców i nowych spraw.

Przykładem niech służy rejon starszego sierżanta H. Feterlicha zamieszkały przez ponad 14 tysięcy ludzi. Gdy dzielnicowy rozpoczynał pracę znajdowały się tu drobne gospodarstwa, pola i domki jednorodzinne. Zaczęło jednak wkraczać nowe budownictwo — rozbiórka domów, niwelacja terenu — setki nowych twarzy, dla których rejon sierżanta Feterlicha był miejscem pracy. Potem nowi mieszkańcy, nowe sprawy, nowe konflikty. Dzielnicowy rozpoczynał tu każdy dzień swej trudnej służby, tak jak gdyby rozpoczynał pracę w zupełnie nowym rejonie. Codziennie, żmudnie od nowa musiał poznawać swoją dzielnicę, natykał się na nowe rodzaje wykroczeń, dotąd niespotykane (np. kradzież mienia z budowanych bloków).

I znów uparty marsz ulicami rejonu, owa profilaktyczna o b e c n o ś ć milicjanta zaczęła przynosić powoli lecz stale pozytywne efekty.

Oczywiście, osiągnięcie takich efektów jest niemożliwe bez autorytetu i zaufania mieszkańców. Ten kredyt został dzielnicowym MO udzielony przez społeczeństwo i jak wszyscy wiemy na kredyt ten jest pełne pokrycie. Myślę, że tajemnica owego współgrania: dzielnicowy — społeczeństwo tkwi w fakcie bardzo szerokiej współpracy z organizacjami społecznymi, szkołami, komitetami blokowymi. Ale jest jeszcze jeden czynnik — wydaje się bardzo istotny. Otóż dzielnicowy nie jest formalistą. A nie może nim być, bo tkwiąc w autentycznym nurcie życia, znając ludzi, ich sprawy, kłopoty i konflikty — rozumie całą złożoność życia niemożliwą do ujęcia w sztywne reguły przepisów. Dzielnicowy nie jest formalistą — w imię korzyści ogólniejszych, społecznych, może przymknąć oko na niewinne wykroczenie, aby zapobiec przestępstwu. Potrafi być wyrozumiały i życzliwy dla ludzi — i osiąga efekty.

* * *

Sierżant Stanisław Prokop idzie ulicą Wólczańską — dochodzi do parku, na które go skraju siedzą z butelkami „pełnego" jego podopieczni. Stanisław Prokop wie, że w parku piwa pić nie wolno — ale wie również, że jego podopieczni s a m i, z w ł a s n e j i n i c j a t y w y nie dopuścili do awantury, którą wczoraj chcieli wywołać przybysze z „Górniaka". Powiedział im przecież kiedyś: „pijcie piwo nawet tu na skraju parku ale musi tu być spokój". I spokój został zachowany.

„Wszystko gra, panie dzielnicowy?" — pyta jeden z „trębaczy".

„Wszystko gra — odpowiada Stanisław Prokop. I dodaje: „A kiedy wreszcie pójdziesz do roboty, Szmaja?"

TP OBIEKTYW

Pamiętny wrzesień

Zastępca nie jest jeszcze człowiekiem starym, ale żyje dostatecznie długo na świecie, aby niejedno pamiętać. Pamięta, na przykład, bardzo dobrze wrzesień 1939 roku, którego trzydziestą rocznicę właśnie obchodzimy. Był wówczas w wieku poborowym, nie zdążono go jednak zmobilizować. Uchodził z falą ludności cywilnej na wschód, gdzie wraz z innymi poborowymi miał zostać wcielony do armii, ale armii tej nie zdołano już zorganizować. Po miesięcznej tułaczce powrócił do domu, lecz co się działo później — lepiej nie wspominać. A teraz oto Zastępca siedzi przed telewizorem i ogląda obrazy z tamtego odległego września. Mamy dobre powieści o wojnie 1939 roku, dość wymienić „Dni klęski" Żukrowskiego, „Wrzesień" Putramenta, „Polską jesień" Szczepańskiego czy „Bateria została" Zawilskiego, natomiast nie mamy do tej pory filmu, który by ukazał wydarzenia wrześniowe w całym ich dramatyzmie i złożoności. A przecież filmów tych nakręcono sporo i w każdym z nich są sceny mocne i wstrząsające. Ubiegłej niedzieli telewizja dała przegląd filmów o wrześniu, komentowany przez Stanisława Janickiego. Myślę, że Janicki to dobry komentator, znacznie lepszy od Michałka, mówi konkretnie, dobrze i nie umyka na marginesy. Oczywiście nie mogliśmy obejrzeć wszystkiego, co polska kinematografia na temat września powiedziała po wojnie. Nie pokazano nam „Zezowatego szczęścia", ani wielce dyskutowanego w swoim czasie filmu z Pawlikiem w roli głównej. Widzieliśmy fragmenty „Wolnego miasta", „Westerplatte", „Orła", „Lotnej", „Świadectwa urodzenia" oraz nowo wyprodukowanego filmu Ścibora-Rylskiego „Sąsiedzi", który wkrótce powinien wejść na ekrany naszych kin. Filmy te widziało się kiedyś na ekranach, niektóre z nich cieszyły się nawet dużym powodzeniem u publiczności, na przykład „Orzeł", będący chyba najlepiej skonstruowaną opowieścią, choć niekoniecznie najlepszym dziełem artystycznym. Teraz, siedząc przed telewizorem, przypominaliśmy je sobie, zatarte wrażenia powracały na nowo, niekiedy z większą siłą, niż przedtem. Zastępcy najbardziej podobał się film braci Różewiczów: reżysera Stanisława i poety Tadeusza pt. „Świadectwo urodzenia". Jest to wojna widziana oczyma dziecka. Film ten posiada walor, którego nie posiadają inne, mianowicie urok świeżości, autentyzmu i wzruszenia. Sceny Wojciecha Siemiona z przygarniętym chłopcem kryją w sobie wielki ładunek uczuciowy. I chociaż film zrealizowany został w 1961 roku, a więc przeszło osiem lat temu, nie utracił nic ze swego blasku. Zresztą Siemion w tym filmie jest kapitalny, nie wyobrażam sobie, aby tego chłopa na wojnie mógł grać ktoś inny. Aktor, posiadający swoją osobowość, może mieć nawet kiepski tekst i małą rolę, ale potrafi nasycić je prawdą, czymś charakterystycznym i sobie tylko właściwym. W tym samym czasie pokazywano nam w telewizji nową serię „Czterech pancernych i psa", wśród innych aktorów występuje tam nasz łódzki Gajos. Ale żeby mówił on nie wiedzieć co i czynił rzeczy nadzwyczajne, pozostanie bezbarwny. Zastępcy bardzo przykro to pisać, jednakże taka jest prawda. Wspomniany aktor nie posiada tego, co dla artysty jest najważniejsze: nie posiada mocno zarysowanej osobowości.

Chociaż ostatnie dni sierpnia i pierwsze dni września stały pod znakiem tragicznej rocznicy, nie zabrakło przecież w telewizji i programów rozrywkowych. Otrzymaliśmy nawet swoisty rarytas: „Podwieczorek przy mikrofonie", który od tej pory będzie już stale dawany na antenie telewizyjnej. Jak wypadła ta pierwsza prezentacja? Nieźle, ale całkowitym rozczarowaniem okazał się Brusikiewicz jako Malinowski. Lepiej słuchać go w radio, niż oglądać w telewizji. Taka zgrywa nie przystoi nawet Malinowskiemu. Wielce sympatyczny był „Bigos starowarszawski", ale żeby telewidzom nie było za dobrze, wystąpiły znaczne zakłócenia, które popsuły humor nawet najbardziej cierpliwemu odbiorcy. W naszej telewizji często tak: gdy dobry program, nawala technika, ale kiedy technika bez zarzutu, to znowu program bywa lada jaki.

ZASTĘPCA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Nowy film Andrzeja Wajdy „POLOWANIE NA MUCHY", jest dla naszej rodzimej kinematografii przykładem śmiałego, oryginalnego i pomysłowego ujęcia dość ogrango już tematu, jaki stanowi satyra na pewne przejawy naszego dnia powszedniego. Uważnego obserwatora twórczości A. Wajdy zdziwić może fakt, że reżyser ten zdecydował się na „zrobienie" komedii, bo faktycznie komedia jest dla niego czymś zupełnie nowym.

A wszystko zaczęło się od opowiadania pt. „Polowanie na muchy" Janusza Głowackiego. A. Wajda zainteresował się utworem zawierającym trafne i świetnie podpatrzone akcenty satyryczne i przystąpił do jego ekranizacji.

J. Głowacki napisał na podstawie swego opowiadania scenariusz filmowy i przez cały czas realizacji filmu przebywał na planie — skreślał, dopisywał, przerabiał. W wyniku tych zabiegów reżysera i scenarzysty powstała niezwykle interesująca komedia psychologiczna.

Akcja filmu jest na pozór prosta i nieskomplikowana, bo też tak naprawdę, stanowi ona tylko pretekst dla wyłonienia wielowarstwowych znaczeń. „Polowania na muchy".

A. Wajda nazwał „Polowanie na muchy" smutną komedią, o której mówi że „jest to odwrócony mit o Galatei i Pigmalionie. Tylko że Pigmalionem jest kobieta, a Galateą mężczyzna, którego ona rzeźbi".

Konstrukcja filmu jest dość luźna, co pozwala na szybkie i dowolne przenoszenie akcji z jednego miejsca na drugie: pracownia, redakcja, modny lokal w Nieporęcie, klub studencki itp. Wydarzenia wyprzedzają i przeplatają się wzajemnie w zawrotnym wprost tempie. Przypomina to ciągłe „polowanie": na szczęście, na wyjątkową okazję, na rozległe stosunki, na ludzi którzy „się liczą" itd. Jedno jest tylko miejsce gdzie akcja się zatrzymuje — jest to mieszkanie Włodka, w którym mieszka wraz z żoną, synem i teściami. Statyczność tych scen odzwierciedla jednostajność i nudę życia przeciętnej rodziny.

Mówiąc o „Polowaniu na muchy", nie sposób nie wspomnieć ciekawszych kreacji aktorskich. Przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na głównego bohatera filmu, Włodka, którego gra Zygmunt Malanowicz. Wszystko jest w tej postaci takie jak być powinno — począwszy od wyglądu zewnętrznego a skończywszy na oddaniu kolejnych wewnętrznych stanów bohatera: nuda, bunt, próba zmiany, załamanie, wreszcie powrót do dawnej szarzyzny mieszczańskiego życia. Z. Malanowicz jest w swej roli szczery, autentyczny, a jego słoniowata nieporadność i bezsilny bunt, budzą nie tylko śmiech ale współczucie i sympatię widza.

Małgorzata Braunek, kreująca postać Ireny, to nie tylko urocza, młoda dziewczyna. Aktorka doskonale i nadzwyczaj trafnie uchwyciła cechy typowego „filologa" z jego skłonnością do przesadnych ambicji, pseudofilozoficznych, rozmów, rozważań i egzaltacji. Nie sposób wymienić wszystkich aktorów występujących w filmie. Przyznać trzeba, że dali oni bardzo interesującą galerię różnorodnych typów. Komizm postaci został jeszcze pogłębiony dzięki zastosowaniu i zróżnicowaniu języka różnych środowisk.

„Polowanie na muchy" nie jest typową komedią, w której dominuje beztroski śmiech. Śmiech owszem, ale zaprawiony goryczą, refleksją a niekiedy oburzeniem. Są tam niewątpliwie sceny szokujące i wychodzące poza dobry smak pewnego kręgu odbiorców, ale bez nich film straciłby wiele ze swej drapieżności i pikanterii. Dziwna to komedia, która znajduje się zaledwie o krok od dramatu, a może nawet tragedii naszego codziennego bytowania.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

* * *

„WYZWANIE DLA ROBIN HOODA", to barwne widowisko przygodowe przeznaczone dla młodzieży, a nadzwyczaj chętnie oglądane przez dorosłych. Wiele jest wersji związanych z życiem legendarnego Robin Hooda. Jednak to, że był postacią historyczną jest faktem niezaprzeczalnym. Wiadomo, że urodził się około 1160 r. w hrabstwie Nottingham a nazywał się Robert Fitz-Ooth. Postać ta interesowała nie tylko kronikarzy. Robin Hood stał się bohaterem wielu książek (m. in. polskiego autora Tadeusza Kraszewskiego) i filmów (m. in. telewizyjny, serijny film oparty na przygodach angielskiego bohatera).

Reżyser filmu C. Pennington Richards skupił główną uwagę na widowiskowości i nagromadzeniu jak największej ilości przygód dzielnego Robina. Przy czym z góry wiadomo, że ten szlachetny rycerz rabujący bogatych i obdarzający biednych mimo wielu perypetii i niedorzecznie niebezpiecznych sytuacji musi pomścić liczne krzywdy i wyjść z opresji cało. Wiadomo także, iż wszystkie „czarne charaktery" poniosą zasłużoną karę. Aż szkoda, że w życiu zazwyczaj bywa inaczej.

Wątek fabularny filmu powstał w oparciu o starą, narodową legendę. Rzecz dzieje się w czasie krucjaty króla Ryszarda, zwanego Lwim Sercem. Pod nieobecność króla w kraju panuje samowola możnych, mnożą się bitwy i wewnętrzne rozgrywki panów feudalnych, wzrasta ucisk ludności. Jeden z takich panów, zły i podstępny Roger, w celu zdobycia całego majątku morduje swego brata i oskarża o popełnienie tego czynu kuzyna Robin Hooda. Wówczas Robin wraz ze swym przyjacielem mnichem Tuckiem, ukrywa się w lesie Sherwood i staje na czele grupy anglosaskich powstańców. Rozpoczyna się długotrwała walka z Rogerem. Po wielu trudach bohater odzyskuje utracony tytuł, majątek, a na dodatek ukochaną Lady Marian podstępnie porwaną przez ludzi Rogera. Szlachetny Robin nie zapomina jednak o tych, którzy mu pomogli i obiecuje nadal walczyć wraz z nimi.

Mimo wszystkich rażących naiwności postacie występujące w filmie nie są mdłe i papierowe. Niewątpliwie najlepszą postać stworzył weteran angielskiego kina James Mayter. Jego mnich-brat Tuck ożywia całość akcji niewymuszonym, szczerym i atrakcyjnym humorem.

Nie najlepszy jest w tym filmie polski dubbing, który wskutek złej synchronizacji dźwięku bardzo razi.

„Wyzwanie dla Robin Hooda" to jeszcze jedna wersja starej angielskiej legendy o szlachetnym rycerzu-rozbójniku.

MIECZYSŁAWA WALCZAK

POLONICA

O WANDZIE LANDOWSKIEJ

Szwajcarski dziennik „Neue Zürcher Zeitung" z 1 sierpnia br. zamieszcza wspomnienie Erwina R. Jacobiego o Wandzie Landowskiej w 10-tą rocznicę jej śmierci. Wanda Landowska, wybitna polska pianistka, zmarła 16 sierpnia 1959 roku w Ameryce, przeżywszy lat 80. Ukończywszy konserwatorium w Warszawie, udała się na dalsze studia do Berlina, a wkrótce potem zasłynęła jako znakomita pianistka. M. innymi zachwycał się nią Lew Tolstoj, u którego gościła w Jasnej Polanie, a Albert Schweizer już w r. 1907 napisał o niej znamienne słowa: „Kto słyszał jak Wanda Landowska gra wioski koncert Bacha, ten nie może sobie wyobrazić, aby można to było zagrać inaczej".

Niestety, ta wybitna pianistka nie pozostawiła po sobie żadnych pamiętników. W Polsce mało się o niej pisze, a nazwisko jej znane jest tylko w kręgach fachowców muzycznych.

CAMUS W POLSCE

Paryski dwutygodnik kulturalny „La Quinzaine Littéraire" przyniósł w numerze z piątego lipca artykulik o przedstawieniu „Kaliguli" Camusa w teatrze opolskim, w reżyserii Stanisława Wieszczyckiego. Zaznaczono tu, że Camus budzi w Polsce duże zacie kawienie; „Kaligulę" wystawiono już w sześciu polskich teatrach (m. in. w Łodzi, w reżyserii Józefa Grudy, ze scenografią Władysława Daszewskiego, z Krzysztofem Chamcem w roli głównej).

„La Quinzaine Littéraire" dodaje, że Opole jest miastem, w którym odbywają się doroczne festiwale piosenki i że tu właśnie mieściła się kolebka teatru Grotowskiego, budzącego we Francji ogromne zainteresowanie (niedawno ukazała się o nim monografia pisarki francuskiej, Raymond'y Temkine).

POLONICA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

DOMY BEZ ŚCIAN

Wśród śmiałych i oryginalnych projektów nowego budownictwa zwraca uwagę pomysł architekta Jean Daladiera, który jako eksperyment skonstruował tanie budynki mieszkalne, w których nie ma ścian. Dom pomyślany przez Daladiera, to jakby kopuła wsparta w trzech punktach na ziemi, a składająca się z kompleksu trójkątnych płaszczyzn. Kopuły te łączą się z innymi kopułami tworząc cały zestaw budynków. Dom, w którym przewidziano kilka pokoi, ma 180 m kw. powierzchni mieszkalnej i może być wzniesiony przy użyciu 7 m sześc. betonu. Materiał ten Daladier chce zastąpić surowcem lżejszym i tańszym. Płaszczyzny szklane tworzące okna mogą być rozmieszczane według życzenia właściciela domu.

LUDMIŁA TCHERINA

Ludmiła Tchérina jest jedną z najwybitniejszych francuskich gwiazd baletowych. Od kilku lat z wielkim mistrzostwem Tchérina odtwarza role tragiczne, budząc podziw publiczności i zdobywając uznanie krytyki.

W roku 1957 Georges Hirsch z paryskiej Opery powierzył Tchérinie główną rolę w słynnym balecie Debussy'ego i d'Annunzia pt. „Męczeństwo św. Sebastiana". Roli tej nikt nie odważył się zagrać od roku 1911, kiedy to postać św. Sebastiana kreowała słynna na cały świat tancerka Ida Rubinstein. Tchérina początkowo wahała się, ale w końcu zgodziła się i wystąpiwszy w głównej roli baletu, odniosła wielki sukces. Obecnie tancerka występuje w rolach tragicznych i w innych widowiskach jak np. w „Salome" tragedii napisanej w roku 1891 przez Oscara Wilde'a.

Tchérina ma dziś 44 lata. Tańczy od dwunastego roku życia. Ćwiczy bardzo dużo, nieraz po 10 godzin dziennie. Mimo niebywałych sukcesów, jakie odnosi na scenie, zawsze ma tremę przed występem.

ZMARŁ JEDEN Z PIONIERÓW NOWOCZESNEJ ARCHITEKTURY

Niedawno zmarł Walter Gropius, obecnie zmarł drugi z najwybitniejszych pionierów nowoczesnej architektury, Mies Van Der Rohe. On to właśnie jako pierwszy opracował projekt budowy domu wzniesionego całkowicie ze szkła.

Mies Van Der Rohe urodził się w 1886 roku w Aix-la-Chapelle. Z wykształcenia architekt, współpracował m. in. z Walterem Gropiusem i Le Corbusierem. Po odejściu Gropiusa w roku 1930 ze słynnej szkoły architektonicznej „Bauhaus" przejął po nim kierownictwo i pozostał na tym stanowisku do roku 1933, kiedy to hitlerowcy zamknęli uczelnię.

W roku 1937 Mies Van Der Rohe wyjechał do Stanów Zjednoczonych gdzie zajmował się pracami architektonicznymi. Projektował tam m. in. kilka drapaczy chmur w Nowym Jorku.

JEAN PREVOST

„Jean Prévost ou la belle nature" (Jean Prévost albo piękna natura) pod takim tytułem Radio Francuskie przypomniało ostatnio piękną sylwetkę znakomitego pisarza francuskiego, poety, myśliciela i sportowca.

Sport był dla Prévosta źródłem siły i hartu ducha, widział w nim realizację haseł braterstwa między ludźmi i solidarności. Jean Prévost nienawidził faszyzmu, a kiedy Francja znalazła się pod okupacją niemiecką pisarz wstąpił do Ruchu Oporu. Pisał do jednego z przyjaciół: „Zdecydowałem się podjąć ryzyko działania w przekonaniu, że człowiek ma tylko wtedy prawo żyć, mówić, pisać, gdy choć niekiedy zgodził się w ciągu swego życia ponieść ryzyko śmierci".

Jean Prévost odznaczył się walecznością i zginął w jednej z potyczek z hitlerowcami w roku 1944. Pozostawił po sobie interesujące eseje, opowiadania, powieści i studia historyczno-literackie.

Urodzony w roku 1901 debiutował w roku 1925 esejem pt. „Tentative de solitude" (Próba samotności).

Po śmierci pisarza, wydano już po wojnie zbiór jego krótkich wypowiedzi, uwag i przemyśleń dotyczących literatury i sztuki pt. „Les caractères" (Charaktery).

„METEMPSYCHOZA"

Przez długi czas sztuka „La Métempsycose" (Metempsychoza) uchodziła za młodzieńcze dzieło Gérarda de Nerval. Dramat ukazał się drukiem w roku 1830 w czasopiśmie „Le Mercure de France au XIX siécle" i podpisany był „Un Pythagoricien moderne" (Nowoczesny Pitagoryjczyk). Najwybitniejsi badacze twórczości Nervala sądzili, że jest to pseudonim. W roku 1948 M.W.T. Brandy wykazał, że Nerval był tylko przekładowcą „Metempsychozy" i że jej właściwym autorem był pisarz i lekarz szkocki, Robert Macnish, urodzony w roku 1802, zmarły w 1837.

Akcja sztuki rozgrywa się na początku XIX wieku na uniwersytecie w Getyndze. Treścią dzieła jest fikcja polegająca na tym, że pewien student nagle orientuje się, że przybrał zewnętrzną postać znanego hulaki. Jego zaś szlachetna osobowość powędrowała do cielesnej powłoki owego hulaki. Wynikają z tego różne przygody i spięcia dramatyczne.

ARTYSTYCZNE GARNCARSTWO W UZBEKISTANIE

Mówi Umar Dżurakułow, garncarz z dziada pradziada w Uzbekistanie: „Mój ojciec, Dżurakuł, syn Kobilja, Kobil, syn Kuzy, Kuzy syn Nawruza, Nawruz syn Odina, Odin syn... Nie pamiętam w tej chwili imion, ale i on, ojciec Odina i jego ojca ojciec — wszyscy byli ałouczi".

Co to są ałouczi? To ci, którzy zajmują się garncarstwem. Bo w Uzbekistanie są rodziny, które od niepamiętnych czasów zajmują się artystycznym garncarstwem o niezwykle oryginalnej ornamentyce i ciekawej kolorystyce. Jedną z miejscowości gdzie od wieków kwitło i kwitnie po nasze dni garncarstwo jest Afrasiab.

Sztuka garncarska ma podobno walory nie tylko estetyczne. Oto tamtejsi garncarze twierdzą, że jak kolwiek wielką sztuką jest przyrządzenie dobrego pilawu, to potrawa ta nie będzie smakowała kiedy poda się ją na zwykłym talerzu. Żeby pilaw smakował trzeba go jeść na płaskim talerzu ceramicznym zwanym tawokiem. Najsłynniejsze są tawoki, które robi Machkam Obłakułow. Mają one żółtawy kolor, w środku widnieje barwny motyw, a po brzegach biegnie zielona ornamentacja przypominająca wize runki ptaków.

Inną miejscowością znaną szeroko i daleko z wyrobów artystycznej ceramiki jest Szachrisjab. Ceramika tutejsza odznacza się odcieniami czerwieni i brązu, doskonałym nasyceniem barw. Najstarszym z tutejszych garncarzy jest osiemdziesięcioletni Karim Chazratkułow. W swym długim życiu wykonał tysiące talerzy, mis, kubków. Wyuczył on także dziesiątki uczniów trudnej sztuki garncarstwa artystycznego.

Od niedzieli do niedzieli

WRZESIEŃ

ZŁOTE DYWANY LIŚCI— ZAPIS JEŃCA — TRAGICZNA SYMBOLIKA — „PISK PRZERAŻONYCH PTAKÓW" — W ŚRODEK ŁUN... — BOLESNY I GORZKI.

Jest to miesiąc zakwitania wrzosów — pierwszy miesiąc jesieni, kiedy żółknie pora roku. Najpiękniejsza pora roku, choć może właśnie najsmutniejsza mimo tej orgii barw, mimo intensywnego fioletu wrzosów na skraju leśnych dróg, mimo ugrów i umbrów płonących w drzewach...

Wrzesień dla nas ma jednak inną, boleśniejszą symbolikę. Polski wrzesień — ten sprzed trzydziestu lat zapisał się we współczesnej literaturze inaczej niż w wierszach poetów dwudziestolecia. Tam były piękne „liści opadłych złote dywany", „winograd co ognia strzępami zwisa" — tam była „jesień w bursztynowym frukcie" — tam była jesień smutna, ale nie tragiczna. I można było sądzić, że smutna symbolika wrześniowej jesieni pozostanie tylko symboliką pejzażu.

Stało się jednak inaczej. Dni wrześniowe stały się dniami klęski i odtąd już fioletowe imię miesiąca spowite jest we mgle.

„Przez szparę, odłupaną w ścianie odłamkiem niemieckiej bomby, widać było ostatnie przedgraniczne wioski. Ze ściernisk i łąk podnosiły się mgły wchłaniające czerwień zachodzącego słońca. Pociąg zwolniwszy wtoczył się na most. Nie widać chat ani pastwiska. Nie widać nic. Żołnierz w pokracznym hełmie zasłonił wszystko. Oczy mam pełne wilgotnej, prawie purpurowej mgły..."

To zapis żołnierza, którego armia poniosła klęskę, to zapis żołnierza uwożonego na obcą, wrogą ziemię na długie pięć lat niewoli.

Więc jeszcze ten zapis żołnierza:

Dudnią drogi, ciągną obce wojska
a nad nimi złota jesień polska
. . . . . :
Siedzi żołnierz ze spuszczoną głową
zasłuchany w tę skargę brzozową
bez broni, bez orła na czapce,
bezdomny na ziemi — matce.

A inny żołnierz pod dalekim lecz przyjaznym niebem pisał w czwartą rocznicę tamtego września:

Ziemia z mgły się wynurza, zziębła i zrudziała
za dalekim pagórkiem mruczą ciężkie działa
. . . . . :
chmury z miejsca ruszyły i na zachód płyną.
Uważnie otrzyj z rosy za mek karabinu.

Nad Polską płynęły chmury — przechodziły wrześnie — jeden, drugi, trzeci... Wrześnie mieszczące w sobie kapitulację Westerplatte, obronę Warszawy, bitwę pod Kutnem — ale także bitwę Armii Ludowej w suchedniowskich lasach już u progu wyzwolenia i bitwę AL pod Gruszką... I Powstanie Warszawskie, w którym spłonął żołnierz piszący tak:

„Obskoczony przez zdarzeń zamęt
kręgiem ostrym rozdarty na pół,
głowę rzucę pod wiatr jak granat,
piersi zgniecie czas czarną łapą;
bo to była życia nieśmiałość,
a odwaga — gdy śmiercią niosło.
Umrzeć przyjdzie, gdy się kochało
wielkie sprawy głupią miłością".

Ile tych wierszy, tych zapisów żołnierzy-tułaczy, żołnierzy-jeńców, żołnierzy-podziemia? A wszystkię zrodził tragiczny, polski wrzesień, ta mgła wrześniowa, te dni klęski. Zaowocowała nam literatura tragicznie polską symboliką września.

I po latach młody poeta pamiętający z tamtego września tylko skwar i zieloność także napisze o tym, że były „katastrofy lotnicze pod niebiem bezchmurnym" i „śmierci popalonych książek", że były znużenia, które „zamknąć można w dłoni albo urnie" — „nie słyszeć więcej pisku przerażonych ptaków".

Bowiem wrzesień — ten piękny miesiąc płonący orgią kolorów — zapisał się boleśnie i gorzko w naszej historii. Bolesny i gorzki jest więc zapis września w polskiej literaturze.

„Bateria wyciągnęła na drogę i ruszyła w nakazanym kierunku. Ludzie w marszu dojadali zapiaszczony gulasz. I znów przez piaski i lasy... W środek łun obejmujących nas z trzech stron..."

I taki już pozostanie w naszej świadomości polski wrzesień. Bolesny i gorzki. Nawet jeśli wiemy, że tragicznym zrządzeniem losu finał tej hekatomby narodu nastąpił w siedem lat później w niemieckim mieście nad rzeką Pegnitz.

Wyrok w procesie norymberskim zapadł bowiem tak: że we wrześniu.

JERZY WIDOK

Bez strachu

DNI

Oto jest dzień szary, deszczowy — jestem bardzo zajęty, śpieszę się, idę, biegnę niemal ulicą. Przechodnie tego dnia poruszają się powoli. Wielu ujęło się za dłonie i kroczy przede mną szeregiem. Inni depczą mi na pięty, dotykają moich boków. Poruszam się wśród nich jak zmęczony, niecierpliwy pływak w mulistym strumieniu. To ja, tylko ja, się śpieszę, inni zwolnili kroku — nawet mówią wolniej niż zwykle. Nikt nie rozumie, nikt nie podziela mego pośpiechu. A oto inny, słoneczny dzień, piękny dzień, pragnę tego dnia poruszać się powoli, by dłużej czuć wiatr, by prześwietliło mnie słońce, odnowiła zieleń. Tego dnia ludzie biegną niespokojni, roztargnieni, potrącają mnie łokciami, tego dnia postanowili załatwić wszystkie zaległe, zapomniane sprawy, tego dnia postanowili nie dostrzegać zieleni, nie odczuwać wiatru i słońca, tego dnia zanotowa na zostaje zwiększona ilość przypadków ulicznych, ten dzień, który chciałem przedłużyć, zatrzymać, minął z woli wielu ludzi szybko i zgiełkliwie. Czy moja ocena, moje odczucie dni są słuszne, prawdziwe, potrzebne — przydatne dla wielu ludzi? Brak chyba nauki o dniach teorii życiowej prawdy dni, jesteśmy w tej najbardziej codziennej kwestii osobliwie niedojrzali — myślimy na ten ważny temat magicznie, wypowiadamy zaklęcia, a nie hipotezy. Mówimy „dzień dobry" w dni dobre i złe. Są takie dni kiedy ludzie są zręczni i sprawni, są takie dni, kiedy niezgrabni i niedorzeczni zderzają się w nieprzewidzianych kraksach... Co do mnie wydaje mi się, że w pewnych dniach jestem skurczony, zmniejszony, poruszam się wśród hałaśliwych olbrzymów, rad, że jeszcze mnie nie zadeptali, gotów jestem przyznać im rację, byle tylko mój piskliwy głosik został dosłyszany, byle tylko zechcieli do mnie się nachylić i powiedzieć: „Ach to ty, co tam u ciebie mały?" Co do mnie wydaje mi się, że w innych dniach rosnę, chodzę jak Guliwer po ulicach liliputów. Uważam pilnie by nie rozdeptać kogoś ze skrzekliwego drobiazgu ciśnącego się wokół mych nóg. Mógłbym umieścić tego czy owego na dłoni, podnieść do ucha i wsłuchać się w jego piskliwe żale, przechwałki i nadzieje. Mógłbym nosić po kilku w każdej kieszeni. Mógłbym... to baśń o dniach, już nie ich magia, ale jeszcze nie nauka. Kiedy będziemy mieli doktorów tygodnia, docentów miesiąca, profesorów kwartału, rektorów roku i uniwersytet życia. Usystematyzowaliśmy pewne działy rzeczywistości, poznaliśmy i stworzyliśmy ich prawa, inne jej fragmenty wyborczo, przypadkowo pozostały strefą magii, baśni, swobodnych odczuć i dowolnych kojarzeń. Tak wydaje mi się dzisiaj — jest szary, deszczowy dzień w pośpiechu piszę te słowa.

BERNARD SZTAJNERT

VINCENT MCCONNOR

Paulina czy Dioniza?

— Musisz zabić jedną z twoich sióstr! — Zielone oczy Angeliki obserwowały jego reakcję pełną zdumienia. Podniósłszy kieliszek do ust Angelika sączyła dalej swój ulubiony koniak.

— Nie ma nic zabawnego w tym, co powiedziałaś — rzekł zimno Julian.

Jej słowa zrujnowały mu cały wieczór. Męczyły go podczas wspaniałego przedstawienia „Don Juana", ulubionej jego opery. Zepsuły mu nocną kolacyjkę spędzoną w towarzystwie amerykańskich przyjaciół w restauracji na Montparnasse.

Pogrążony w niespokojnych myślach odprowadził Angelikę do jej luksusowego apartamentu. Nie wstąpił na górę. Jego pocałunek na pożegnanie, zwykle namiętny, wypadł jak z przymusu.

— Chyba się nie gniewasz? Prawda? — zapytała Angelika. — Za to, co mówiłam o twoich siostrach?

— Nie gniewam się. Jestem tylko zdziwiony, że mogłaś coś takiego pomyśleć.

* * *

Słowa Angeliki nie przestały go prześladować, gdy swoim starym Citroenem przemierzał szybko znane ulice w kierunku domu. „Musisz zabić jedną z twoich sióstr"! W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że przejeżdża obok wielkiego i ponurego budynku centralnej siedziby policji. Co by się stało — myślał Julian — gdybym powiedział teraz strażnikowi w uniformach stojącej przed wejściem: moja kochanka mówi, że powinienem zabić jedną z moich sióstr? Posądziliby mnie, że jestem pijany.

Tymczasem nigdy tak jasno nie myślał, jak w tej chwili. Czuł się dziwnie. Nic z tego, co dziś wypił nie było dość silne, aby rozgrzać mu lodowate palce, albo wymazać z mózgu słowa Angeliki. Skręcił w prawo w kierunku Pont Neuf, potem wjechał w pustą Rue de Rivoli.

Przypominał sobie, jak po wyśmienitym obiedzie u Drouanta zaczął lamentować w obecności Angeliki na temat nieustannej potrzeby pieniędzy. To, co posiadam — mówił nigdy na nic nie wystarczy. Nie mogę sobie pozwolić nawet na drobne luksusy, które umożliwiają znośne życie...

Angelika znudzona wzruszyła pięknymi ramionami, które wyłaniały się spod nowej toalety Chanela.

— Jest mi smutno już na początku miesiąca, gdy otrzymuję mój zwykły czek. A potem, gdy dochodzę do połowy miesiąca... czuję się prawie żebrakiem.

Angelika w milczeniu popijała koniak.

— Mam upodobania subtelnego, nawet wyrafinowanego mężczyzny, a otrzymuję rentę hołysza. Marzeniem tylko może być dla mnie posiadanie własnego apartamentu. Mijają lata, a ja jestem skazany na życie z moimi siostrami w tym przeklętym starym domu, który zbudował mój pradziadek...

— Ależ to jest piękny dom!

— Nie dla tego, kto jest zmuszony mieszkać tam stale, cherie! Z dwojgiem służących, kiedy powinno ich być tuzin. Pokoje są pełne antycznych gratów, meble rozpadają się.

— Czy nie mógłbyś wyjechać z Paryża na wakacje? — zapytała wówczas Angelika. — Miałam nadzieję, że w tym roku spędzimy miesiąc w Portugalii.

— To niemożliwe!

— Dlaczego, Julianie? Dlaczego niemożliwe?

— Chyba, że przyjaciele zaproszą nas do swej posiadłości, inaczej nie mógłbym sobie pozwolić na tę przyjemność. Poza tym musielibyśmy podróżować pociągiem, czego nienawidzę. Moje nędzne auto nie wytrzymałoby tak długiej podróży. W ubiegłym miesiącu, gdy towarzyszyłem ci do Malmaison, aby odwiedzić twoją ciotkę Agnieszkę, zużyłem później trzy dni, aby doprowadzić motor do porządku.

— I pomyśleć, że pół Paryża zazdrości tobie twego stylu życia!

— A druga połowa mnie wyprzedza, ponieważ jej kapitały stale rosną.

Przypomniał sobie, że nastąpiła długa chwila ciszy, nim Angelika zaczęła dalej mówić.

— A gdybyś znalazł sobie jakieś zajęcie? Twój przyjaciel Henryk Courton robi coś dla lotnictwa. Nikt właściwie nie rozumie o co tam chodzi, ale wiemy, że mu dobrze płacą.

— Niestety, jestem jednym z tych, którzy niczego się nie nauczyli, chyba tylko używania pełni życia. Cóż mógłbym robić w lotnictwie?

Angelika znów wzruszyła ramionami. — Wiem, że Bebe Morreau jest dyrektorem w wielkim domu handlowym przy Rue de la Paix. Doskonale daje sobie radę i...

— Czy chciałabyś mnie widzieć w domu handlowym?

— Obawiam się, że nie... Dokąd pójdziemy dziś wieczorem? Po przedstawieniu w operze?

— Na Montparnasse. Zjemy kolację z panią Sinclair i jej przyjaciółmi. Telefonowała do mnie dzisiaj.

— Ta bogata wdówka amerykańska uwielbia cię.

— To jest moją tragedią już od czasu, gdy miałem dziesięć lat. Wszyscy mnie uwielbiali.

— Pani Sinclair chciałaby cię poślubić.

— Gdybym kiedy miał zamiar kogoś poślubić, moja kochana, ożeniłbym się z tobą. Na nieszczęście żadne z nas dwojga nie może sobie pozwolić na ten luksus. Ty straciłabyś alimenty, a ja nie mam możliwości utrzymania dwojga osób.

— Nigdy nie mogłam się dowiedzieć, jak skończyło się ze spadkiem po twoim biednym ojcu. Byłam w Anglii, gdy zmarł. Co się stało z tymi wszystkimi pieniędzmi?

— Pieniądze są, lecz moje siostry i ja nie możemy naruszyć kapitału. Korzystamy tylko z renty. Lecz, wyobraź sobie, renta jest podzielona na trzy części i dlatego żadne z nas nie ma pieniędzy pod dostatkiem.

— Czy zawsze tak było?

— Zawsze.

— A jeżeli jedno z was umrze?

— To zmieniłoby sprawę. W wypadku śmierci jednego z nas trojga dwie pozostałe osoby podzielą się całą rentą. Przypadnie połowa zamiast trzeciej części.

— A więc sprawa jest prosta, czy nie widzisz? Musisz zabić jedną z twoich sióstr.

— Wcale nie jest zabawne to, co powiedziałaś!

— Ależ, kochany, to jedyne rozwiązanie!

— Pomyśl, Angeliko, gdyby ktoś cię usłyszał. — Rozejrzał się po lokalu pełnym wytwornej klienteli. — Żartujesz chyba.

— A jeżeli nie żartuję? — Angelika uśmiechnęła się, jej oczy wytrzymały ostre spojrzenie Juliana. — Którą wolałbyś z tych dwóch? Dionizę czy Paulinę? Łakomą, głupią Paulinę? Czy wolałbyś roztrzepaną idiotkę Dionizę?

— Angeliko!

— Którą, Julianie? Którą z dwóch... Paulinę czy Dionizę?

* * *

Upłynęło już kilka godzin a pytanie Angeliki nie przestawało go dręczyć. Dźwięczało mu w uszach, gdy wchodził do rodzinnego domu. Przedsionek pełen kosztownych arrasów był ciemny, lecz błyszczało światło na podeście schodów pierwszego piętra. Przebiegł je szybko.

— Czy to ty, Julianie? — Paulina usłyszała odgłos jego kroków na marmurowej posadzce.

Otworzył ciężkie drzwi artystycznie inkrustowane i znalazł się wobec zwykłego widoku Pauliny zagłębionej w gniazdku koronkowych poduszek. Czytała jakiś romans. Na nocnym stoliku leżało pudło czekoladek.

— O tej porze wraca się do domu? — Paulina przyglądała mu się badawczo.

— To jest tylko moja sprawa.

— Nie rozumiem, co widzisz w tej głupiej Angelice? I po tylu latach! Latałeś za nią jeszcze jak byliśmy dziećmi.

Grube, upierścienione palce igrały lokami mysiego koloru otaczającymi tłuste policzki. — Chciałabym wiedzieć, czym cię tak trzyma. Może czarem swych włosów, które zmieniają kolor o każdej porze roku?

„Musisz zabić jedną z twych sióstr". Trudne do zapomnienia słowa wracały jak żywe. „Którą wolałbyś? Łakomą, głupią Paulinę?"

Angelika miała rację, Paulina była łakoma. I na pewno także głupia.

— Musiałam znów wezwać lekarza do Dionizy — mówiła Paulina.

— Lekarza? A co się stało tym razem?

— Ach, gdybyś widział tę scenę! Siedziałyśmy właśnie przy stole. Dioniza stłukła kieliszek i skaleczyła rękę. Wszędzie było pełno krwi. — To mówiąc Paulina wyszukała następną czekoladkę i wsunęła ją między łakome wargi. — Doktór Ponsard mówi, że Dioniza ciągle będzie ulegała jakimś wypadkom. Taka już jest, stale z nią były kłopoty, prawie od urodzenia.

Julian skierował się do wyjścia.

— Nie przeszkadzaj teraz Dionizie, lekarz dał jej proszek na sen.

Julian zamknął drzwi pokoju Pauliny. Zatrzymał się na chwilę w korytarzu. „Musisz zabić jedną z twoich sióstr", Doktor Ponsard mówi, że Dioniza będzie zawsze ulegała wypadkom. Dioniza czy Paulina?

* * *

Julian pocałował bladą rękę owiniętą bandażem. — Biedna, chora rączka!

— Skaleczyłam się wczoraj. Paulina musiała wezwać lekarza.

— Powiedziała mi o tym, gdy wróciłem w nocy do domu. — Obszedł stół naokoło, aby usiąść na swym miejscu. Do jadalni wszedł służący Marcin. — Proszę na śniadanie kawę i biszkopty, nic więcej — rzekł Julian.

Dalszy ciąg nastąpi

Lewym okiem

EFEKTY WIZUALNE

Przed kilkoma tygodniami „Prawo i Życie" opublikowało małe a dowcipne sprawozdanie z klubowego wieczoru dyskusyjnego na temat „Sąd — najstarsze widowisko świata". Osią wieczoru było wystąpienie aktora — Gustawa Holoubka, którego wypowiedzi nadały całej imprezie pikanterii. oto aktor rozmawia z adwokatami i sędziami jako kolega po fachu, ktoś z podobnej branży, ktoś dostarczający publiczności emocji wizualnych!... Znany senior publicystyki prawniczej, Mieczysław Szerer, zareagował w „Polityce" ostro: sąd to nie spektakl do oglądania i bicia braw! Sędzia to nie człowiek przebrany w togę i łańcuch, grający wyuczoną rolę; oskarżony to nie kiepska rola w niewydarzonym widowisku! Wieczór zorganizowany przez prawników był jednak zabawą, i to inteligentną, dowcipną zabawą. Relacje o nim w „Prawie i Życiu" też utrzymano w konwencji żartobliwego felietonu, takiego „lewym okiem". Nie ma co się obruszać. Zwłaszcza, że jakby się tak zastanowić...

Naturalny, nie grający żadnej przypisanej z góry roli, był w całej rozciągłości tylko krajobraz na nie odkrytych, bezludnych połaciach ziemi. Później zaczęto w tym krajobrazie rąbać, ryć, orać, palić i przestawiać meble. Stał się dekoracją, tłem do ludzkich poczynań, zresztą kształtowanym nieświadomie, czyli bezmyślnie. Od niedawna jest już dekoracją w całkiem teatralnym sensie: planuje się krajobraz, specjaliści od estetycznego kształtowania przestrzeni decydują, które drzewa wyciąć, jak przeprowadzić wykop, co gdzie zbudować, co zostawić tak jak było. Organizują nam arenę i kulisy, estradę i widownię.

Człowiek w swej działalności publicznej, a w większości wypadków także nie — publicznej, jest nieustannie obserwowany. Widać go zawsze i wszędzie. Prawie nigdy nie zachowuje się tak, jakby był zupełnie sam, liczy się z widownią, „gra pod publiczkę". Ten proces będzie się pogłębiał i rozszerzał, bo jest nie tylko związany z kulturą, jest kulturą samą. Do każdej rzeczy, czynności, zjawiska można przykładać najróżniejsze kryteria. Poezja, sztuka w ogóle, filozofia, ba — nawet zwykły kondensat metaforycznego myślenia: dowcip — potrafi sięgnąć do kryteriów, które nagle ukazują nam rzeczywistość jako coś cudownie odnowionego, nieznanego, egzotycznego. Czemuż by nie zabawić się raz właśnie próbą wydobycia i podkreślenia w odniesieniu do każdej sytuacji, akcji, instytucji — jej walorów wizualnych, jej cech jako widowiska?

Przecież w jakimś sensie widowiskiem jest i ślub, i pogrzeb, i defilada wojskowa i zwykła zmiana warty. Dla osoby niezainteresowanej tematem kapitalne widowisko stanowić może konferencja w jakimkolwiek urzędzie, na jakimkolwiek szczeblu. Są tam aktorzy i statyści, jest personel pomocniczy, są gry i gierki, bywa sufler i inspicjent, są dramatyczne momenty zapomnienia tekstu i kabotyńskie mruganie w stronę loży. Każda niemal rozmowa petenta z urzędnikiem przy okienku to prawdziwy skecz, nie tylko ze względu na treść, ale także optycznie: przymilne podchodzenie, skromny gest przedłożenia pisma, moment zaabsorbowania urzędnika czym innym, czymś nieskończenie ważniejszym, wreszcie sięgnięcie po papier, wymiana spojrzeń, łyk herbaty, pieczątka. To można reżyserować, można robić źle i dobrze, z wdziękiem i z tępą, mechaniczną rutyną. Można też oceniać. Dlaczego nie można?

Ludzie szukali zawsze jawnej sprawiedliwości. żeby się jawiła w glorii, z szumem i blaskiem, publicznie. I to jest prawda, że sąd — miejsce, w którym ma się jawić sprawiedliwość stęsknionym ludzkim oczom — zawsze był widowiskiem. Zawsze nadawano mu patetyczną oprawę, strojono dziwnie aktorów, operowano dźwiękiem i światłem, dekoracją i kostiumem. Nie ma powodu, żeby się tego wstydzić. Byleby — jak z dobrej, genialnej tragedii w teatrze — wychodzić także z sądu z uczuciem prawdziwej, głębokiej katharsis...

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny). Karol Badziak (dział terenowy). Konrad Frejdlich (dział publicystyki). Roman Łoboda (poezja i proza). Andrzej Makowiecki (dział reportażu). Celina Paluch (redaktor techniczny). Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego). Jerzy Wilmanski (dział kulturalny). Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1895. B-4.